Numer 40 | Nal. poczt. opł. ryczałtem. | Dnia 6 Października 1929



Kraków, ulica św. Tomasza L. 52.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Jak Mosiek Bąbelas przy ułanach służył.

Mosiek Bąbelas staje przed wojskową komisją poborową. Nie pomogło ani to, że tydzień nie jadł, ani że udawał ślepego, głuchego, chorego na wszystkie choroby, o jakich tylko słyszał. Lekarz wojskowy był nieubłagany. Wysłuchał z uśmiechem wszystkiego, co mu Mosiek opowiadał i rzekł głośno:

— Zdolny!

— Panie major — zwraca się zmęczony Mosiek do przewodniczącego komisji — poco mnie panowie biorą do tego wojska, przecie teraz niema wojny?

— No, widzisz, ale może być!

— Oj, a jakby była wojna, to co ja będę robił?

— Będziesz zabijał nieprzyjaciół, przecie ty jesteś odważny — mówi przewodniczący.

— A ile ja mam zabić tych nieprzyjaciół?

— Ile będziesz mógł, pięciu... dziewięciu...

— Oj panie major, to ja już wolę, niech panowie ich przyprowadzą tutaj, to ja ich już zabiję, ale poco ja mam tam za niemi chodzić na tę wojnę...

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Mosiek Bąbelas został przydzielony do ułanów. W koszarach otrzymał razem z innymi rekrutami mundur, broń, przybory. Ogląda z ciekawością każdą rzecz z osobna. Najbardziej zainteresował go karabin. Ogląda go ze wszystkich stron, wreszcie zagląda do lufy i niespokojny biegnie do kaprala.

— Panie kapral, melduję posłusznie, co w tem karabinie jest dziura, coby potem na mnie nie było!

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Nauka jazdy na koniu rozpoczęła się od nauki zakładania siodł. Po skończonej lekcji kapral wydaje rozkaz:

— Ułan Bąbelas siodłaj konia! Mosiek nakłada siodło, przyciąga popręg — wreszcie melduje:

— Panie kapral już!...

— Ty ośle jeden, taś siodło założył naodwrót przodem do zadu końskiego!

— Panie kapral, melduję posłusznie, co ja mislał, że my w tamtą stronę, pojedziemy!

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Nauka jazdy konnej najbardziej się dała we znaki walecznemu Bąbelasowi. Na pierwszej lekcji dopóty było jako tako, jak długo konie szły stępa, lecz gdy następnie konie poszły kłusem, Mosiek uczuł naraz, że się dzieje z nim coś niedobrego. Głowa skacze osobno, ręce osobno, tułów osobno, — ani rusz wszystkiego pozbierać do kupy, o co gorzej Mosiek czuje, że za każdym razem siedzi gdzieindziej, coraz bliżej końskiego ogona. Wreszcie krzyczy:

— Aj, panie kapral, gwałtu! koń mi się kończy!...

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Po kilkunastu lekcjach jazdy, ułani wyjeżdżają na ćwiczenia w pole. Mosiek jedzie na skrzydle a duszę ma na ramieniu, bo koń jego nieprzyzwyczajony do ruchu ulicznego, idzie niespokojnie. Wtem, gdy gdzieś niedaleko zabrzmiała trąbka samochodu, ułan Bąbelas ku zdumieniu wszystkich wyjeżdża gwałtownie z szeregu i galopem pędzi wzdłuż oddziału.

— Bąbelas — krzyczy kapral — a ty dokąd jedziesz?

— Co szemnie pan pita? pitaj sze pan konia!

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Na innej lekcji wachmistrz mówił o tem, jak żołnierz ma się zachować przed nieprzyjacielem w czasie bitwy, — poczem pyta:

— Ułan Bąbelas, jeślibyś w czasie bitwy znalazł się na odcinku silnie ostrzeliwanym przez nieprzyjaciela, cobyś robił?

— Melduje posłusznie, jabym uciekał!

— Co? co ty mówisz?... To nie wiesz, żebyś był tchórzem, to największa hańba żołnierza?

— Panie wachmistrz, ja panu co powiem... Jabym wolał przez te małe chwile być tchórzem, niż przez całe życie nieboszczykiem.

Przywileje bogactwa.

Bogaty wujaszek, po powrocie z Ameryki z dolarami, raczy się na przyjęciu u swych krewniaków, posługując się nożem zamiast widelcem. Mały Kazio nie spuszcza z niego oka. Po chwili zapytuje matkę:

Mamusiu, dlaczego wujaszek je nożem?

Cicho bądź, moje dziecko — odpowiada szeptem mama. Wujaszek Jaś jest tak bogaty, że wolno mu jeść nawet łopatą od węgla.

Numer 40. Rok XII. Kraków, dnia 6 Października 1929

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor.cz., półrocznie 27 k. cz., kwart. 15 k. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 gr. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek. 500.868.

Babie lato.

Skończyło się piękne i upalne lato, a przyszła posępna i smutna jesień, tak smutna, jak życie ludzkie, kiedy miną dni młodości, a starość zbliżać się poczyna. Ale jak w jesieni życia ludzkiego, tak i w jesieni prawdziwej jeszcze czasem jaśniejszy promyk zabłyśnie, jeszcze świat rozweseli i przyniesie przynajmniej ułudę chwil minionych. Szczególniej w Polsce w dniach jesiennych mamy niejako powrót minionego lata. Słońce zaświeci jeszcze jaśniej, ciepły wietrzyk powionie i ptaszę rozkosznie zaśpiewa, a w powietrzu rozsnuwają się białe nici pajęcze. Okres ten nazywamy powszechnie babiem latem.

W dawnych czasach te nici pajęcze uważano za coś złego, tak jak wszystko, czego sobie wytłomaczyć nie umiano. Nikt nie wiedział, skąd się te nici brały i z czego pochodziły, poganie zaś twierdzili, że przędą je Norny, najzaciętsze nieprzyjaciółki ludzi szczęśliwych, a ponieważ przędły je dziewice, przeto porę, w której się nici pojawiły, nazwano dziewiczem latem.

Gdy później religja chrześcijańska wyparła Norny, wtedy nazwano białe te niteczki przędzą Matki Boskiej, i tak nazywają je jeszcze do dziś dnia w różnych stronach. Że zaś stare kobiety lubią się wygrzewać w słońcu i przed nadejściem zimy wyzyskują każdą ciepłą chwilę, aby stare członki rozgrzać ciepłem słonecznem, przeto powstała dla nici tych inna nazwa, nasze ogólnie znane babskie lato.

Podług innej legendy nie przędły nici tych Norny, okrutne boginie przeznaczenia, tylko Holda, bogini łagodności i dobroci, otaczająca szczególniejszą opieką kobiety. I na jej miejsce przyszła z religją chrześcijańską Matka Boska, z tą tylko różnicą, że białe nici zostały oderwane od zasłony Najświętszej Panny, gdy się nią okrywała w chwili swego Wniebowzięcia. Stąd stała się nazwa nici Marji bardzo popularną.

Zresztą w różnych krajach różne legendy są przywiązane do tych białych nici jesiennych. N. p. w Bawarji twierdzą, że żal było Najświętszej Pannie zasłony, która się Jej postrzępiła. Spływają więc z nieba srebrne niteczki, a kiedy się ich zbierze już dostateczna ilość dla Świętej Panienki, zleci na ziemię cały orszak aniołów, pozbiera je i utka nową szatę dla swej Królowej.

We Francji, gdzie bujne włosy kobiet były bardzo cenione, nazywają owe niteczki włosami Matki Boskiej, które Ona złotym czesze grzebieniem. Czas ten zowią latem św. Djonizego, w Czechach zaś, których patronem jest św. Wacław, latem św. Wacława.

Niemniej poetyczną jest nazwa białych nici w Rosji. Tam nie pochodzą one ani z zasłony Matki Boskiej, ani z przędzy Nornów, tylko z piór odlatujących dzikich gęsi i dlatego mają nazwę „kwapu gęsiego“.

Oczywiście wszystko to są legendy, gdyż nauka stwierdza, że niteczki te snują maleńkie pająki, ale świadomość tego faktu legend nigdy nie zatrze.

Tak jak natura przeżywa babie lato, przeżywa je i człowiek. Minęła wiosna życia, minęło rozkoszne lato, nadeszła jesień jego, po której ma nastąpić nieubłagana zima, mrożąca wszelkie marzenia i ułudy człowieka. Przyjdzie starość a z nią zgasną wszelkie nadzieje. Ale w życia ludzkiego jesieni jeszcze od czasu do czasu zabłyśnie babie lato, które mu przypomni minione dni ułud i nadziei. Smutną jest jesień życia ludzkiego, a smutną jest niesłusznie, gdyż winna ona być najpiękniejszą porą jego istnienia, gdyż dopiero wówczas posiada całą świadomość swej wartości, moc doświadczenia, nabytego w ciągu swej wiosny i lata swojego życia. Człowiek jest w pełni sił i pełną garścią dopiero czerpać potrafi to, co mu dobrego życie daje.

HENRYK RÓŻYCKI.

SMOK.

Powieść z zamierzchłej przeszłości na tle legendy wawelskiej.

Upatrzył ścieżkę wydeptaną przez myśliwych i dzikiego zwierza, na którą wszedł z największą ostrożnością, szukając oparcia nogą na większych kępkach sitowia, aby ominąć tym sposobem otchłanie bajora i módz przebyć najgorszą część drogi.

Kiedy uczuł trwalszy grunt pod nogami, ruszył śmielej.

Za chwilę mijał na lewo leżące jezioro.

Miał teraz przed sobą pole zarośnięte olszyną, wierzbiną i kępami wysokiej trzciny, zarastającą płytkie moczary rozsiane tu i ówdzie.

Nagle zakołysały się koło niego trawy od strony jeziora i tuż z pod jego nóg wyrwał się zając, który jak strzała przebiegł mu w poprzek drogę.

Stanął jak wryty i patrzał osłupiały za umykającym szarakiem, za którym tylko biała kitka migała mu przed oczyma.

Splunął trzykrotnie i blady wyszeptał:

— Pewnikiem nieszczęście!

Stał chwilę bezradny, wreszcie zrezygnowany zawrócił z powrotem.

Wracał tą samą drogą, ponieważ zając przebiegł mu drogę.

Poszedł z powrotem do wzgórza i skręcił stokiem ku Wiśle.

Gliniaste strome zbocze góry, pokryte kępami macierzanki i żółto kwitnącego rozchodniku, nie było zbyt wygodne, by nadrobić czas stracony. Słabo tkwiące w ziemi łodygi rozchodniku usuwały mu się pod nogami razem z gródkami gliny, która sypała się w dół, płosząc do słońca grzejące się zaskrońce.

Stąpał uważnie, poglądając pod nogi, ponieważ leniwe na piędź długie o jaskrawych żółtych plamach na grzbiecie jaszczurki, niechętnie usuwały mu się z drogi, a on ze swoim zabobonnym umysłem bał się nastąpić płaza. Czasem tylko, kiedy trafił na kawałek wydeptanej przez dzikiego zwierza ścieżki, biegł, chcąc nadrobić utracony czas. Mozolna ta droga męczyła go srodze, przytem słońce prażyło coraz bardziej, że co chwila rękawem swej parcianej koszuli obcierał obficie zroszone potem czoło.

W miarę posuwania się naprzód, stok góry stawał się mniej spadzisty, aż wreszcie skończył się u zarośli łoziny rosnącej obficie nad brzegiem szeroko rozlanej Wisły.

W znanem mu miejscu odszukał w wiklinie wydeptaną ścieżkę i wszedł w zarośla, aby za chwilę stanąć nad brzegiem wody, gdzie między sitowiem kołysała się zbita z okrąglaków tratew. Odczepił ją, krzywulę i łuk złożył na jej środku, potem ujął żerdź i pchnął się przez sitowie na czystą wodę.

Trzymał się ile możności brzegu i płynął wolno, ale stale pod wodę.

Plusk żerdzi płoszył wodne ptactwo i zwierza spoczywającego w cieniu gęstych łozin, a szmery powodowane ucieczką zwierząt wywoływały u niego strach, że oglądał się trwożliwie.

Czasem na drugim brzegu mignął mu na tle ciemnej zieleni szary, konopny samodział jakiegoś myśliwego, czy rybaka, ale znać zobaczywszy tratew, znikał zaraz, bojąc się narówni ze zwierzem ludzkiego oka. A wtedy i on starał się, o ile możności, chować się pomiędzy zaroślami.

Spiekota dokuczała mu coraz bardziej. Parł całą siłą na opartą o dno rzeki żerdź i poglądał co chwilę przed siebie, licząc w myśli odległość.

— Tam za tą kępą jest dopływ niewielkiej rzeki, na którą skręci ze swą tratwą, a potem już dębowym borem niedaleko do celu... — myślał.

Naraz opuścił ręce i stanął, patrząc zdumiony przed siebie.

Zza tej samej kępy, o której myślał, ukazało się kilka łodzi pełnych zbrojnych ludzi.

Widział ich już raz!... to te same z pod Wawelu!...

Gnani silnym prądem wody, jak strzała płynęli prosto na niego.

— Co czynić?!...

Popatrzał na złoconą kulę, potem na łodzie...

Przestrzeń prędko zmniejszała się między nimi.

Dostrzegł jakieś znaki i głosy dochodziły jego ucha.

W panicznym strachu porwał krzywulę wraz z bronią i skoczył do wody.

— Byle dopaść brzegu!... — szepnął do siebie.

Po gardło w rwącym strumieniu posuwał się z okropnym wysiłkiem do brzegu, utkwiwszy wzrok w zwisającej nad wodą łozinie.

— Jeszcze krok! — szeptał, bo łodzie wpadły już na niego tak, że wiosło poczuł na swem ciele.

— Przepadło! pomyślał, ale ręką ułapił się gałęzi.

Prąd wody rzucił w bok łodziami i zwiększył na chwilę przestrzeń między nim tak, że wiosłem nie mogli go już dosięgnąć.

Jednym skokiem znalazł się już na brzegu.

Jakieś wołania, czy przekleństwa usłyszał za sobą. Lecz on nie zważał na to, tylko rozgarniał rękami uzbrojonemi krzywulą i łukiem zarośla i uciekał, co sił mu starczyło.

— Byle się dostać na wolne pole! — myślał.

Przebiegł przez łozinę, potem piaskowe odsypisko porosłe nędznemi badylami bylicy i mięty, wpadł w starą odnogę Wisły i brnąc po kolana w mule, dotarł wreszcie do brzegu i stanął na torfiastej łące porosłej kaczeńcem, dzikiemi liljami wodnemi i trzciną, nie mogąc tchu złapać.

Oglądnął się za siebie.

Kilka postaci zaszytych w skóry zwierzęce dobiegało do starego wiśliska, a strzała świsła mu koło głowy.

— Źle! — pomyślał, i pędem, dysząc ciężko, pobiegł przed siebie.

W dali przed nim widać było wysokie łodygi trzcin nad jeziorem, które niedawno opuścił, wracając z powodu przebiegnięcia mu drogi przez zająca.

Biegł, co sił mu starczyło. W piersi zatykało mu coraz bardziej. Chwilę jeszcze a padnie ze zmęczenia.

Przystanął na chwilę, by odetchnąć. Strzała znowu ze świstem przebiegła mu koło ucha. Druga zaraz za nią, ryjąc się głęboko, ugrzęzła mu w udzie nogi.

Syknął z bólu, złapał ręką za grot i razem z kawałkiem ciała wyrwał pocisk.

A sam, nie zważając, że krew leje się mu strumieniem i znaczy jego drogę, że ból okropny przeszkadza mu w ruchach, że pot zalewa mu oczy, tylko biegł i biegł, aż wreszcie dopadł trzcin jeziora i wskoczył do wody.

Normandowie w pogoni zatrzymali się nad jeziorem. Oglądnęli miejsce, gdzie ślad kończył się

u zwierciadła wody i z przekleństwem na ustach zaczęli się rozglądać po okolicy.

— To dziwne! — rzekł jeden — wszyscy tak uciekają przed nami, że ani rusz wydobyć języka!... A to co?! — I ręką wskazał na ogromne za palisadą zabudowania Tynu.

Gród, niewidoczny od strony Wisły, ukazał im się z tej strony w całym majestacie.

— Jakaś warownia! — odpowiedział drugi, patrząc nie bez zdumienia na wysokie dachy i gęsty częstokół.

— Wracajmy! Zbieg musiał się chyba utopić w tem błocie, a my możemy być spostrzeżeni z tego grodu, co mogłoby nam nie wyjść na dobre!...

Za chwilę wrócili tą samą drogą nad Wisłę.

Po pewnym czasie, po odejściu Normandów, poruszył się wielki płasko leżący na wodzie liść wodnego jaskra i głowa ludzka ostrożnie podniosła się w górę.

Nadsłuchiwał uważnie.

Głosy oddalały się coraz bardziej.

Ostrożnie dopłynął do brzegu, na czworakach wypełzał z trzcin i spojrzał za wrogami.

Znikli w zaroślach nad Wisłą.

Odetchnął głęboko, ze stękiem usiadł na brzegu i ręką tamując upływ krwi z rany, przemyśliwał, co począć dalej.

— Chyba powrócić z powrotem do Tynu?!...

— Nie. Za nic!... Jeszcze nie było wypadku, by krzywula nie doszła swojego celu, a on zasłużyłby na ogólną wzgardę, gdyby uległ przeciwnościom i wrócił, nie doręczywszy jej komu należy.

Rana dokuczała mu coraz bardziej, a ogrzana po zimnej kąpieli silniej broczyła krwią.

Ściągnął ze siebie koszulę, urwał rękaw, sporządził zeń bandaż. Kłos kaczeńca pokruszył w palcach i miękkim jego puchem zatkał krwawiącą dziurę w nodze, obłożył grubo po wierzchu, następnie obwiązał szmatą.

Za chwilę uczuł pewną ulgę, że powstał, ale rana kurczyła mu okaleczały mięsień nogi, że się wyprostować nie mógł. Schylił się, ujął krzywulę i wsparty na niej zaczął się chyłkiem posuwać wzdłuż trzcin jeziora.

Każdy uczyniony krok sprawiał mu ogromny ból, że syczał i zgrzytał zębami, ale szedł.

Za chwilę spotkał małą wyniosłość zarośniętą odwiecznemi dębami, a za nią niewielką rzeczkę, którą przebył wpław, poczem już skradał się pomiędzy zrzadka rosnącemi porostami i drzewami, stąpając pewniej po równym gruncie.

Chwilami przystawał, opierał się plecami o drzewo, przymykał oczy i dyszał ciężko. Czasem znowu kładł się na ziemi, lizał spalonemi od gorączki wargami wilgotne trawy, lub pełzał na czworakach, sycząc i zacinając zęby.

— Byle jeszcze kawałek a spocznę! — pocieszał się sam, jednak uparcie posuwał się naprzód, a spoczynek odkładał na później.

Słońce już dawno ubiegło połowę swej drogi, kiedy wyszedł z lasu. Przed nim widać było słomianą strzechę a na jej szczycie stojącego na jednej nodze w gnieździe bociana.

— Już niedaleko! — szepnął i usiadł, by nabrać sił.

Pragnienie dokuczało mu bardzo, rana piekła coraz to więcej, że kroku nie mógł uczynić.

— Umrzeć mi chyba przyjdzie! — myślał i przymknął powieki.

W głowie mu szumiało, język spalony gorączką zalepił się do podniebienia, a przed oczami migały mu ogniki.

— Już tak blisko! Jeszcze kilkanaście kroków a rozkaz spełniony.

Popatrzał błędnym wzrokiem dokoła siebie, jakby szukał pomocy, lecz nikogo nie spostrzegł. Chciał krzyknąć, lecz tylko charczenie wyrwało mu się z piersi i upadł zemdlony.

Kiedy się ocknął, słońce chyliło się już za wierzchołki drzew.

Wspomniał sobie obowiązek i powstał, lecz musiał usiąść z powrotem.

Rana kurczyła mu całą nogę, że nie mógł ustać.

Zrozpaczony, zacisnął zęby, w obie ręce ujął krzywulę i porwawszy się nagle, biegł przed siebie.

— Jeszcze parę kroków! — szeptał — aż wreszcie runął przed drzwiami domostwa.

Na odgłos upadającego ciała jakiś młody człowiek wyglądnął ze dźwierzy, a widząc człowieka, leżącego pod progiem, pochylił się nad nim.

— Opolne wiece! — wyszeptał Jarosław ledwo dosłyszalnym głosem, podając z wysiłkiem pochylonemu nad nim człowiekowi krzywulę i omdlał.

— Starża! — zawołał nieznajomy. Odebrał od niego kulę i nie uważając nawet na omdlałego, pognał, jak strzała, do sąsiedniego domostwa.

VI.

Rankiem drugiego dnia męzkie rodzeństwo Starżów wyruszyło na uroczysko, położone na wschód od Tyńca na wydmie piaszczystej, aby ułożyć dla starego Juga i dla Salwidy całopalny stos.

W miejscu na ten cel przeznaczonem, gdzie zwykle płonęły wszystkie ciała dotąd pogrzebane, ułożono wysoki na rosłego człowieka stos dla Salwidy, natomiast dla władyki obrano obok miejsce nowe, okolono je kamieniami i ziemię udeptano. Drzewa poddostatkiem dostarczyła im puszcza bez wielkich wysiłków, gdzie pełno leżało poobalanych drzew, dostatecznie wysuszonych. Trzeba było tylko na długość je poprzycinać i krzyżując je, ułożyć jedne na drugie, aby stos był gotowy na przyjęcie ofiary.

Spełniając według tradycją przyjętego zwyczaju tę czynność, nie zapominali o ustawieniu w koło głazów, na których usiędą uczestnicy całopalenia do uświęconej objaty, czyli stypy pogrzebowej spożywanej na cześć zmarłego.

Wróciwszy z powrotem, wykopali dziurę pod przyciesią domu i tą drogą wysunęli trupy na podworzec, aby tym sposobem zmylić duchom drogę, gdyby zamiast iść w krainę przodków chciały wracać w dom pomiędzy żyjących. Następnie ułożono ciała na noszach wykonanych z osikowego drzewa i przybrano je w najpiękniejsze szaty. Salwidzie w jedną rękę włożono kądziel a w drugą igłę. Jugowi zawieszono sajdak pełen strzał a za pas zatknięto jego siekierkę. Do jednej ręki dano mu łuk a do drugiej oszczep. Kieszenie ubrania wypełniono im ulubionemi sprzętami i narzędziami, bacząc, aby na tamtym świecie niczego im nie brakło. Wreszcie na nogi ubrano im nowe, mocne z lipowego łyka łapcie, aby drapięc się na stromą ostremi kamieniami najeżoną górę, dążąc w krainę przodków, nóg sobie nie kaleczyli.

Podczas tego dziewice ubrane w wianki z macierzanki ze zatkniętemi za pas pękami bylicy zebrały się na dziedzińcu i trzymając się za ręce, utworzyły koło i zatoczyły obrzędowy taniec, śpiewając:

Wynijdź, wynijdź gospodarzu!
Chodzą śmiecie po podwórzu...
Ciało leży, duch go nęka,
Bo się w niem pozostać lęka.

I krokami pełnemi wdzięku zataczały koło trzy razy w jedną, trzy razy w drugą stronę aż do dziewięciu.

Mężczyźni zaś tymczasem spieszyli się, aby podczas tego tańca przygotować nieboszczyków do drogi na wieczny spoczynek.

Przed noszami i po bokach ustawiły się młode dziewice w wiankach z rozchodników, z pękami lilji wodnej w dłoni z zakrytemi twarzami płatami białego płótna, z których jedna na przedzie w środku dzierżyła urnę-popielicę, a dwie u jej boków — mniejsze urny z żywnością dla zmarłych.

Gdy czterech tęgich parobków stanęło u noszy, wtedy Sławoj, opatrzywszy, że wszystko po formie zrobione, dał znak do pochodu.

Kilku młodych ludzi wybiegło na czoło pochodu z ogromnemi bawolemi rogami w ręku.

Przyłożywszy ustniki, zagrali basem, a niewiasty uderzyły w głośny płacz, i pochód ruszył wolno przed siebie, poprzedzany czarodziejem, który w podskokach wywijał na wszystkie strony pękiem brzozowych gałęzi, wygłaszając przytem jemu tylko znane formuły zaklęć skuteczne do odpędzenia z drogi złych duchów. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Czarny krucyfiks w katedrze poznańskiej.

W prastarej katedrze poznańskiej, której mury starożytne pamiętają zamierzchłe czasy Mieszka I. i Bolka Chrobrego, mieści się wśród wielu innych, piękna kaplica, zwana kaplicą Najświętszego Sakramentu.

W ołtarzu tej kaplicy wisi krucyfiks (krzyż) ciemnej barwy, do którego ludność poznańska z wielką odnosi się czcią, wierząc, że krucyfiks ten jest cudownym. Wiara ta nie powstała bez przyczyny, albowiem starodawny ten znak chrześcijanizmu i męki Chrystusa ma dziwną swoją historję, której początek sięga dawnych, minionych wieków.

Było to za czasów wstąpienia na tron w Polsce króla Zygmunta III. Młody król — jak to zwykle bywało — po odbytej w Krakowie koronacji, zwiedzał większe miasta, wśród nich przybył również do Poznania.

Wielkie to było święto, wielka uroczystość narodowa. Wszystko, co tylko żyło w Poznaniu, wysypało się na ulice miasta, Stary Rynek zapchany był obywatelami Śródki, Zagórza, Piekar, Rybaków, Jeżyc, Winiar, Wierzbięcic, któż zresztą wyliczy te wszystkie ówczesne dzielnice, pięknego i kwitnącego Poznania.

Pochód królewski witały władze miejskie z stopni starego ratusza, skąd świetny pochód, poprzedzany cechami i dziesiątkami sztandarów bractw świeckich i kościelnych, ruszył w dalszą drogę przez Chwaliszewo do Katedry.

Na drewnianym moście chwaliszewskim, po przejściu już orszaka, powstał nagle taki ścisk wśród ludności, że przyszło do awantury — a nawet do bójki.

W toku tego, usłyszano nagle okropny krzyk, a ktoś z tłumu upadł na bruk, brocząc obficie krwią. Zjawili się oczywiście zaraz na miejscu strażnicy miejscy i — przekonali się, że osobnik, który upadł, już nie żył. W ranie zadanej od tyłu, tkwił jeszcze nóż po samą rękojeść.

Spełniony więc został mord. Któż jednak dopuścił się haniebnej zbrodni i to w chwili przyjmowania królewskiego majestatu? Zatrzymano natychmiast wszystkich tych, którzy około zamordowanego się skupili i rozpoczęły się dochodzenia.

Wtem występuje jakiś osobnik o złem spojrzeniu i niemiłym wyrazie twarzy, wskazując ręką na stojącego opodal młodego rybaka, że to on zabił człowieka. Stał bowiem obok zabitego, a świadek widział nawet nóż błyszczący w ręku rzekomego mordercy.

Młody rybak zbladł strasznie na takie oskarżenie, w głowie mu się zamąciło, zapomniał poprostu języka w gębie, przedarł się przez otaczający go tłum i uciekł W. Garbarami w stronę Rybaków.

Ucieczka ta stała się jednak jasnym dowodem winy. Młodego rybaka znało bardzo wielu z obecnych, stąd też i nazwisko mordercy nie trudem już było do ustalenia.

Rybak, wyrwawszy się z otoczenia, pędził jak szalony, chociaż przez nikogo nie ścigany, wprost do swego mieszkania na Rybakach, które zajmował z staruszką matką. Wpdłszy do izby, rzucił się w jej ramiona z okrzykiem: Mateńko! jam niewinny! To fałsz! Nikogo nie zamordowałem!

Staruszka zdziwiona mową i wyglądem syna, tuli go do swej piersi, uspakaja jak może, gdy w tem — słychać już hałas i brzęk broni.

Strażnicy i pachołkowie miejscy weszli do izby, skuli młodzieńca w kajdany, mimo krzyków i protestów matki staruszki i zabrali go z sobą do miejskiego więzienia.

Kilka tygodni trwały sądy, przesłuchiwano świadków, wśród których najgłówniejszym był oczywiście ów, który pierwszy na rzekomego mordercę wskazał. Zapadł wyrok — śmierć przez powieszenie.

Ile łez nieszczęsnych wylała stara, biedna rybaczka, nie widząc żadnej możliwości uratowania jedynaka. Jedyną pociechą i nadzieją pozostała jej modlitwa. To też codziennie szarym rankiem biegła kobiecina do świątyni, gdzie krzyżem leżąc przed ołtarzem, błagała Stwórcę o miłosierdzie.

Nadszedł wreszcie dzień stracenia. Prowadzą skazańca pod strażą od więzienia ratuszowego ulicą Wrocławską, za skazańcem — jedynakiem — drepcze łzami zalana stara rybaczka. Smutny orszak zbliżył się do bramy wrocławskiej, na której wisiał ciemny krzyż z wizerunkiem Chrystusa. Był to zazwyczaj ostatni postój dla skazańców, których tą bramą na śmierć szubieniczną wyprowadzano.

Tutaj rybak padł na twarz przed krzyżem a wraz z nim padła na bruk stara matka. Z ust skazanego rybaka szły słowa ostatniej modlitwy, aż wreszcie jak gdyby w nadmiarze żalu zawołał na głos: Chryste najsprawiedliwszy! Czy zezwolisz, abym poniósł niewinnie śmierć haniebną?

Na to — usłyszał lud zapełniający ulicę głos jeszcze donioślejszy, głos idący od krzyża, wszyscy słyszą najwyraźniej słowa z ust Chrystusa:

— A co ja uczyniłem ludziom i światu, żem niewinnie zawisł na krzyżu?

Wszczął się hałas. Lud, widząc tak jasny cud, domaga się uwolnienia skazańca, czemu się też władze nie sprzeciwiły.

Wykazało się później, że posądzenie młodego rybaka było zemstą, a zbrodniarzem był sam oskarżyciel, który wobec cudu przyznał się skruszony do zbrodni.

Krzyż cudowny z bramy wrocławskiej zdjęto w roku 1652 i umieszczono go w kaplicy katedralnej, gdzie do dnia dzisiejszego się znajduje.

OSTRŻEŻENIA ANIOŁA STRÓŻA.



Wyrosłoś, dziewczę, jak róży kwiat!
Cudną urodę dał tobie Bóg,
Otworem stoji przed tobą świat
I pełno w życiu przed tobą dróg.

Możesz wybierać, jak wola twa
I iść drogami kwiatów i róż,
Lub ścieżką, gdzie dusza smutkiem łka...
I cóż wybierzesz, o dziewczę, cóż?...

Głowinę twoją, dzieweczko, łam,
Czy pójdziesz drogą, gdzie pusty śmiech
Prowadzi prosto do piekła bram
Przez rozkosz, szczęście, radość i grzech,

Lub czy obierzesz ścieżynę łez,
Gdzie sercem targa niejeden ból,
Lecz której wreszcie tam będzie kres,
Kędy panuje Bóg twój i król?...

Z jednej cię strony pociąga świat,
Pełen ułudnych, zwodniczych dróg,
Pełen rozkoszy, ale i zdrad,
A z drugiej Władca, Pan twój i... Bóg!

Wiem, że w głowinie twej jeszcze mrok
I ciało wątłe, jakoby liść...
Nie wiesz, gdzie młody skierować krok
I którą drogą trzeba ci iść.

Lecz jam przy tobie, twój Anioł Stróż!
Będę cię zawsze w opiece miał...
Będę przy tobie wśród życia burz,
By cię ochraniać, wytrwale stał.

Nie będziesz miała na duszy win,
Nie będziesz czuła, co trud i znój,
Gdy jakikolwiek wszczynając czyn,
Pomnisz, że patrzy Stróż Anioł twój.

O idź, dziecino, w ułudny świat!
Szczęściem się swojem z bliźnimi dziel;
Unikaj jeno życiowych zdrad
I patrz, gdzie życia twojego cel!

Antoni St. Bassara.

Odpust na św. Jacka.

Wpleciona w sosnowy wianek na wzgórzu, jak grzybek biały w czerwonym kapturku — rozrosła się biała kapliczka na zielonym placu, a na niej świeżo malowany stał św. Jacek i patrzał niebieskiemi oczyma, dziwiąc się niemało, że taka ludzi kupa i co też się stało?

Wokoło niby maki rozkwitły barwne stroje — do Jacka do świętego tak wdzięczą się dziewoje, szept słychać przyciszony, czy grzechów spowiadanie, a potem śmiech — i znowu:

— O św. Jacku Panie!

I błyszczą, jak paciorki niebieskie oczy wkoło — i niby na jarmarku, tak gwarno i wesoło: Pierścionki, medaliki i książki i obrazki i głośne odpustowe modlitwy pełne łaski — i różne rozmaite — i śpiew ślepego dziada, co niby czysta kropla w ofiarny kielich spada...

Więc za przykładem ślepca sypną się wnet ofiary, do stóp św. Jacka składają różne dary: I słodkie, jak cukierki i zimne jak kryształy i barwne, niby kwiatki, do stóp się posypały świętemu na ofiarę — dźwięczące pustką słowa...

A św. Jacek zbiera i do skarbony chowa — i patrzy uśmiechnięty na owe barwne cacka, błyszczące, niby złoto, a wszystko to dla Jacka! I myśli święty sobie:

— I cóż za korzyść z tego, gdy więcej jest tu miedzi niż złota prawdziwego?... i wszystko takie niby, jak garnczek pobielane — i słowa i te serca na słodko malowane. *Kachna Ł. Łza.*



MACIEK BZDURY GADA:

Tak, jagem to pedzioł w zesłą niedzielę, dałem się skusić Walkowi Grzelowemu i poślimy oba we cwartek do Magdy Majcherzonki na zaloty. ,

Walek powiada:

— Pójdź Maciek do Majcherzonki w zaloty, bo wiem, ze cię będzie chciała. Ma dwa morgi pola i budę niezgorsą, a matkę juz starą i dychawicną, jak Jabramków koń, to zasie niedługo pociągnie, a ty zostanies przy Magdzie i jej zagonach i będzies se statecnem gospodarzem, jak się patrzy.

— Kazby zaś — ja na to. — Miała ci ona juz niejednego śturkaca, a zaden się przy niej nie został, zasieby ta mnie chciała!

— Zaden, co zaden, to prawda, ale tamci mieli rozum. A na chłopa im głupsy, to lepsiejsy i ty się w sam raz la Magdy nadajes.

— Ha! — myślę se — moze i dobrze radzi. Magda w sobie obsyrnia, to i w zimie będzie się przy kiem ugrzać.

Przysed wreście cwartek, więc po wszyćkiej robocie, jak juz gospodarze pośli spać, ja wstałem i po cichu zacząłem się ubirać na zaloty. A na zalotach nie wiada, co się trafi, więc poprzódzi umyłem se nogi, wytrzepał portki z pchłów, powybirołem słomę z głowy i posedem za stodołę, gdzie juz Walek na mnie cekał i z niecierpliwości pogwizdywał.

Po drodze kazał mi Walek wstąpić do karcmy i kupić za moje piniądze, com se je bez cały rok składał, wódki i cukierków la Magdy, coby mogła z nami słodziej gadać. Zal mi było piniędzy, bo śtyry złote piechotą nie chodzą, ale co było robić! Przecie się drugi raz zenił nie będę, to i co mi po pieniądzach!

Zaślimy.

U Majcherzyny juz się nie świeciło. Spali, a i Bartek od Furgaca co ino z ich chałpy wychodził i powiadał, ze juz moze z godzinę, jak śpią. Ale nas to nie przestrasyło, inośmy zacęli walić we drzwi, które coprawda nawet nie były zamknięte. Temcasem Majcherzyna zaświeciła i puściła nas do izby.

Walek wyjął flaskę z gorzałką z mojej kiesieni i powiada do Magdy:

— Magduś! Odkręcić, cy zakręcić?

— Hale — powiada Magda. — Jaki ci prefesur! Jakoze będzies zakręcał, kiedy zakręcona?

— No juści — powiada Walek — to się wi, ze co zakręcone, trzeba odkręcić.

Wyjął Walek korek z flaski, Majcherzyna podała kieliska i zacęli my pić. Walek przywalił się do Magdy, przypijał do niej i cosik jej septał do ucha, a starą Majcherzyną po ręcach całował. Magda tak się serdecnie śmiała, ze do jej gęby pewnikiem tramwajby wjechał, gdyby to było w Krakowie, a nie w Psiej Wólce.

Ciesyłem się bardzo z tego, ze tak Walcysko za mną obstawa i juz nawet nie uwazałem na to, jak on przy piciu o mnie zapomina, a ino raz po raz przypija to do Magdy, to do jej rodzicielki.

Pili my i pili tak moze ze dwie godziny i jak się juz pijatyka kończyła, powiada mi Walek pocichu do ucha:

— Ty Maciek mozes juz iść do chałpy wyspać się; ja jesce ostanę, pogadamy, bo w sobotę pójdziemy z Magdą do jegomości na pacirze.

Wybałuscyłem na niego ocy, bom nijak nie mógł zrozumieć, co on gada i pytam się go:

— To jak to? Za moje śtyry złote, to Magda ma być twoja, a nie moja?

— Takześ chciał! — powiada Walek. — Wszyćkiego ci się zachciewa! I śtyry złote twoje i Magda twoja, a mozebyś jesce gwiazdki z nieba zapragnął? Nie dość ci,ześ się napił z nami? Cegóz ci się więcej zachciwa?

Popatrzyłem na Magdę, co ona na to, alem jej tylko kawałek nóg zuźrał, bo prawie cała z wielgiego wstydu wlazła juz pod Walka. Ha! — myślę sobie — nie ma co robić! Moze być, ze po przepiciu najlepiej będzie pójść spać. Z cyganami nic nie poradzi. Zgniwałem się straśnie na Walka, trzasnąłem drzwiami i posedem, bo co prawda, to nie tyle mi o Majcherzonkę chodziło, co o moje śtyry złote, które tak na bezdurno utraciłem. Co do Magdy, to w niej nie było nic ciekawego: długa, jak lufa od karabinu, a okrągła na gębie, jak Pazdrowa kobyła, a w sobie tak obsyrnia, zeby śtyrema końmi na niej nawrócił.

W niedzielę była pirsa opowiedź Walka z Magdą, a kiedym ją usłysał, to mi się tak na sercu mokro zrobiło, ze jagem przysed do chałpy, musiałem całą przyodziwę przebirać. Uspokoiłem się dopiero gdziesik koło piątku, jak mi gospodyni powiedzieli, ze u Magdy na przysłą niedzielę będą krzciny. Pomyślałem se: Cóz ja na przeciw takiego Walka! On potrafi się za cudze pieniądze ozenić, on za tydzień potrafi mieć brzdąca, a ja co? Niechze se trzyma, kiedy ją wziął, a mnie, jak Poniezus poscęści, to jesce nie jedne śtyry złote miał będę. A i co do zeniacki, to mi jesce cas nie minął. Cy to mało dzieuch na świecie. Jest wam tego gadziaństwa tyle na świecie, ze ino palcem kiwnąć, a zaraz śtyry przyleci.



Sen.

Przyśniły się srebrzystą dziś nocą
Umęczonej mej głowie sny białe,
Że te oczy, co w blaskach migocą,
Tylko ku mnie zwrócone są całe...

I z snu tego cudnego, jak baśnie,
Snułem marzeń zachwyty słoneczne,
Księżycowe widzenia i jaśnie
I tęsknoty cudowne, serdeczne.

Lecz kiedym się z snu tego obudził
Rozwiało się przecudne marzenie
I poznałem, że sen mnie tak łudził,
Że jej miłość to tylko złudzenie.

Stanisław Kamyk.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Madagaskar II.

Jak to już zaznaczyliśmy w poprzednim numerze, mieszkańcy Madagaskaru są poganami. Oczywiście nie wszyscy, gdyż wielu jest tam już Europejczyków, a i znaczną ilość krajowców zdołali nawrócić na katolicyzm niestrudzeni księża misjonarze. Jest też pewna ilość również wyznawców religji protestanckiej, gdyż i protestanci rozszerzają tam swą działalność. Większość jednak mieszkańców, to poganie.

Najwyższym ich bogiem jest Zanahara. Temu najwyższemu bogu składają też najwięcej ofiar. Ofiarnikami, coś jakby kapłanami, są ojcowie rodzin, lub przełożeni gmin. W okolicach nadbrzeżnych wierzą w złych duchów; czarownicy, wedle mniemania krajowców, mają z nimi stosunki. Dla uniknięcia nieszczęścia obwieszają się amuletami. Świątyń osobnych swoim bożyszczom nie stawiają.

Dochodzenie sprawiedliwości jest u nich zupełnie barbarzyńskie. Sędzia podaje oskarżonemu do wypicia truciznę, zwaną tangina. Jeżeli żołądek oskarżonego wyrzuci napój, uważany jest za niewinnego, lecz ciężko tę próbę odchoruje; zwyczajnie śmierć następuje zaraz po wypiciu. Wina wtedy jest dowiedziona, rodzinę zaprzedają w niewolę, a majątkiem jego dzieli się sędzia z rządem krajowym. Obliczają, że roczna liczba ofiar trucizny na Madagaskarze wynosi 30 tysięcy ludzi.

Istnieje na Madagaskarze zwyczaj, że naczelnik gminy ma prawo ogłosić, iż taki a taki przedmiot jest „fadi". Wówczas przedmiot ten jest nietykalny. I tak, jeżeli jakieś drzewo ogłoszone jest „fadi", wówczas zerwanie z niego jednego nawet listka poczytane jest za zbrodnię i jako zbrodnia karane.

Ciekawe jest chowanie zwłok zmarłych na Madagaskarze. Właściwie nie jest, ale było, gdyż teraz rząd francuski stara się wszelkiemi siłami, aby ciała zmarłych zakopywano w ziemi. Do niedawna jednak nie czyniono tego; zwłoki umarłych przechowywano nie w grobach, ale ponad ziemią. I nie we wszystkich okolicach jednako. Na obrazku podajemy dwa cmentarze tamtejsze. Na pierwszym widzimy wcale uroczy cmentarz u jednego z plemion madagaskarskich, a mianowicie u Becymicarasów. Właściwie jest to nie cmentarz, ale park, w którym tu i ówdzie znajdują się trumny. Jedną taką trumnę widzimy na naszym pierwszym obrazku. Stanowi ją pień wydrążony, którego końce są szczelnie zamknięte odpowiedniem wiekiem. Trumna taka ustawiona jest na podporach dwie stopy ponad ziemią. Aby jej zaś nie uszkodził deszcz, albo skwar słoneczny, osłania się ją



Grobowiec Becymicarasów.

dachem na czterech słupach spoczywającym. Wreszcie, aby zwierzęta nie miały do niej przystępu, ogradzają ją dokoła palisadami. Takie grobowce są mniej lub więcej od siebie oddalone, a cały cmentarz okrąża gaj obszerny, poświęcony duchom, które się tu według mniemania ludu ciągle przechadzają.

W okolicy Baly cmentarzyska przedstawiają się znowu inaczej. I tu nie kładą nieboszczyka do ziemi, ale na piasku w ten sposób, aby się ani na jedną ani na drugą stronę oryginalna trumna kryjąca je nie przechyliła. Trumny, jak to widzimy na drugim naszym obrazku, są tu robione w formie owalnej z dwóch pni wyżłobionych. Do jednego z nich kładzie się ciało, a drugim się je nakrywa, spojenia zaś oblepiają się smołą.

Wprawdzie, jak to zaznaczyliśmy, rząd francuski zakazał takiego chowania zwłok, ale nie wszędzie sięga władza Francuzów i tam, gdzie ona nie dociera, można jeszcze spotkać takie cmentarze.

Cmentarze na Madagaskarze zakładane bywają zdaleka od mieszkań ludzkich, bo krajowcy wogóle lękają się duchów, przeto też nie zbliżają się nigdy do cmentarzy, chyba w razie konieczności.



Oryginalny cmentarz na Madagaskarze.

Na zakończenie podamy jeszcze »Zdrowaś Marjo« w języku Howasów. Brzmi ono, jak następuje:

Izaho miarahaba anno Mary, feno hasowana, ny Tompo ao amy nao, be hazina ambony ny wehiwawy rehetra hinao, be hazina i Jezo nateraky ny kibo nao.

Mazima Mary, reny ny Zanahary, iwawaho, anke-

hitryny izamaj mpano ta, ary amy ny andro hafatesa'naj. Amen.

Prawda, że ciekawy język? Może się ktoś z naszych Czytelników nauczy tej modlitwy na pamięć, a gdy pojedzie na Madagaskar, będzie miał, jak znalazł.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JULJAN BACZYŃSKI.

Złoty trzewiczek.

Powieść z XII wieku.

Wstęp.

Tam, gdzie dziś znajdują się dzielnice Wielkiego Krakowa, Zwierzyniec i Półwsie Zwierzynieckie z kościołem i klasztorem P. P. Norbertanek, tam, gdzie dziś jest kościół św. Salwatora i góra św. Bronisławy, na której wznosi się kopiec Kościuszki, rozciągał się przed wiekami ogromny Zwierzyniec królewski.

Jak wiadomo, praojcowie nasi byli poganami, czcili więc, jak zresztą wszyscy poganie, wiele bóstw, a o jednym, prawdziwym Bogu nie mieli pojęcia.

Naczelnym bogiem w pogańskiej Polsce był Jesse. Od niego zależało wszelkie dobro doczesne, tak szczęście, jak i nieszczęście. Wyraz „jesse“ przypomina jesień, gdyż głównie po żniwach cześć temu bożkowi oddawano. To samo bóstwo na północy zwało się Światowidem, a przedstawiano je z głową o czterech twarzach, zwróconych w cztery strony świata.

Drugim bogiem był Perun, Pierun lub Piorun. Był on bożkiem piorunów i grzmotów. Miał świątynię na Rusi, w Kijowie i Nowogrodzie, a był czczony we wszystkich krajach słowiańskich, jako jeden z najważniejszych bogów.

Między innemi odbierały cześć boską pogańskie bóstwa Lelum Polelum oraz Świst Poświst albo Pochwist, z których pierwszy oznaczał mocną ulewę, drugi zaś gwałtowny wicher.

Pogańskim bogiem zemsty i śmierci był u Polan Nija albo Nijoła, który miał świątynię w Gnieźnie, gdzie przedstawiony był w odrażających kształtach z krwawemi, ruchomemi oczyma. Koło wiecznego ogniska, które przed nim się paliło, składano mu ofiary i modlono się, aby dusze po śmierci uwolnione były od mąk i cierpień.

U pogańskich Słowian boginią ślubów i potomstwa była Dziedzilia. Marzanna, pogańska bogini śmierci, miała w Gnieźnie wspaniałą świątynię, gdzie składano jej ofiary celem uchronienia się od śmierci i od morowej zarazy. Dziewanna, czczona przez niewiasty, opiekowała się lasami. Dziewice składały jej wieńce.

Praojcowie nasi, zresztą jak wszyscy poganie, obchodzili na cześć bóstw swoich różne uroczystości. Do takich należało święto Kupały, obchodzone z końcem czerwca (ku upału). W nocy, przy płonących stosach drzewa, młodzież bawiła się wesoło, śpiewając i tańcząc; parobczaki przeskakiwali przez ogień do swych dziewcząt. W tych dniach zbierano zioła, a kąpiel uważana była za uzdrawiającą. Zdaje się, że tu mają swój początek i dzisiejsze „sobótki“.

Kraków nie wyglądał wówczas jak miasto, lecz jak duża wieś, ciągnąca się wśród drogi i Wisły w tych miejscach, gdzie dzisiaj Skałka z kościołem św. Stanisława i Kazimierz. Dzisiejszy rynek miasta był lesistym pagórkiem, na którym szumiał las sosnowy, a pośród tego lasku nawracał i chrzcił św. Wojciech, który tu przybył z Pragi czeskiej, aby krzewić świętą wiarę wśród pogańskich mieszkańców. Po śmierci św. Wojciecha, który został zamordowany przez pogańskich Prusaków, ścięto w tem miejscu odwieczną sosnę i zbudowano z niej kapliczkę, pamięci jego poświęconą. Dzisiaj stoi tu murowany kościółek św. Wojciecha.

Jak głosi podanie, św. Wojciech urządził też na wzgórzu zwierzynieckim kościółek św. Salwatora, na który przemienił pogańską świątynię Lelum Polelum. Świadczy o tem ambona, z której miał wygłaszać kazania św. Wojciech, a którą umieścił na zewnątrz Piotr Dunin ze Skrzypna, gdy w roku 1148 ten kościółek budował. Wraz z parafją przyłączył go do kościoła i klasztoru PP. Norbertanek Jaksa z Miechowa, a w r. 1622 wzniosła go z muru ksieni tegoż klasztoru Dorota Kątska.

PP. Norbertanki, które i dzisiaj mają swój klasztor i kościół na Zwierzyńcu, jest to zgromadzenie Kanoniczek regularnych, założone około 1122 r. przez św. Norberta, hrabiego genewskiego, pod regułą świętego Augustyna. Za życia założyciela liczyło 10 tysięcy zakonnic. W Polsce klasztor to jeden z najdawniejszych; najsławniejszym ze wszystkich był założony w 1663 r. przez Jaksę z Miechowa właśnie na Zwierzyńcu.

Norbertanki prowadzą w ciągłem milczeniu życie nadzwyczaj ostre. Ubiór ich stanowił jeden habit z białej, grubej wełny lub owczy kożuszek i czarny początkowo welon. Liczba ich doszła do 500. Szczególną świątobliwością odznaczały się zaraz w początkach Siostry: Fabisława, Judyta Krakowianka, Weronika, a szczególnie krewna św. Jacka Odrowąża, błogosławiona Bronisława, na której cześć nazwano wzgórze, na którem znajduje się obecnie kopiec Tadeusza Kościuszki.

W kościółku św. Salwatora, wzniesionym w 1622 r. przez Dorotę Kątską na szczególną uwagę zasługuje wielki obraz malowany na drzewie, a zawieszony na lewej ścianie blisko wielkiego ołtarza. Jest tu morze, na nim okręt, na brzegu Chrystus na krzyżu w długiej sukni szarej, złotem bramowanej, w złotej na głowie koronie, ze złotymi na nogach trzewiczkami. U stóp krzyża gra na skrzypkach chłopek, a jeden trzewiczek spada mu do rąk z nogi Zbawiciela. Obraz wisi w tem miejscu, gdzie przed laty umieszczony był kosztownie rzeźbiony krucyfiks, który zabrano do Rzymu, a w jego miejsce przysłano ów obraz.

Do tego obrazu odnosi się zajmująca legenda, którą opisał Juljan Baczyński, a którą poniżej naszym Czytelnikom podajemy:

CZĘŚĆ I.

1. Ubogi skrzypek.

Dokoła wzgórz Zwierzynieckich wisiały od najdawniejszych czasów ubogie chatki. Około roku 1160 w jednej z tych chat mieszkał młody Piotr Skała ze swoją chorą matką Hanną. Był on z zawodu szewcem, ale że to rzemiosło nie popłacało mu bardzo, więc w wolnych chwilach grywał też na skrzypeczkach. W drugiej obok chiżynie mieszkał Bartek Kordas, co tak samo jak ojcowie i dziady zajmował się wyrobem obręczy. Została mu też ta burzliwość charakteru i obojętność religijna, jaką odznaczali się przodkowie jego. Bo chociaż wiara Chrystusa w tym czasie była już wszędzie zaprowadzona, istniała przecież wśród

ludu żywa tradycja o dawnych pogańskich bogach i boginiach, a dalsze i głębsze lasy ukrywały jeszcze w sobie wiele rodzin, co pozornie przyjęły chrześcijaństwo, w duszy zaś wyznawały starą wiarę, oddając cześć szumiącym, odwiecznym dębom, świętym źródłom, szumom i świstom leśnym. Do takich niepewnych jeszcze chrześcijan należał właśnie wspomniany Bartek Kordas, chłopak gwałtowny i zacięty, gdy przeciwieństwo jego stanowił łagodny i delikatny Piotruś Skała, chłopiec silnego ducha a głębokiej wiary. Kochał on swą matkę, siedział w domu i oddawał się pracy, niekiedy uprzyjemniając sobie życie rzewną na skrzypeczkach muzyką.

Prawda, wybiegał czasem ze swej nędznej chaty ku dostatniemu obejściu Zaliwów, gdzie spodziewał się ujrzeć śliczną, czarnooką Jagnę, bo ją lubił, a i ona nie była mu obojętną, zwłaszcza, gdy przysłuchiwała się jego prześlicznej muzyce. Byłby się może i z nią ożenił, bo bardzo tego pragnęła jego matka, gdyby nie był tak bardzo biedny. Ale zwykle z takich odwiedzin wracał smutny i przygnębiony; w oczach stał mu śliczny obraz ukochanej Jagienki, a żalem napełniało się jego serce na widok swego nędznego, potarganego ubrania i ogólnej biedy w chacie.

W takiej chwili spytała go raz matka:

— Hej Piotrusiu, hej synu mój, Jagnę widziałeś dziś, co u niej? jak żywie?

— Bogać mi matulu, nie gadajcie mi o tem! — zawołał z goryczą i usiadł pod oknem, smutnie w ziemię patrząc. Matka odgadywała myśli syna i nic nie mówiła, tylko patrzyła nań badawczo.

— Co mnie myśleć o Jagience, — mruknął ponuro — ona bogaczka, jam żebrak przy niej!

— Bodaj cię Pietrku, cóż to za gadanie, młody jesteś i jaki wdały, rzemiosło masz w ręce; prawda, dziś do cna nic nie ma, lecz jutro, da Bóg, będzie wszystkiego w bród, obaczysz!

Chłopak spojrzał na nędzne oblicze schorzałej matki, na lichy statek w izbie i znów opuścił głowę. Wiedział on, że matka mówiła tak, by go pocieszyć i że sama w to nie wierzyła; widział też, że mu żadnego posiłku nie przygotowuje, że więc o głodzie trzeba będzie do snu się położyć. Uśmiechnął się gorzko, podniósł głowę i spojrzał na matkę. Potem zerwał się z miejsca, pochwycił skrzypki ze ściany, a że był miły wieczór wiosenny, wybiegł przed chatę i wygrywać rzewnie począł. Te piękne tony płynęły przez pagórek aż do otwartych drzwi domostwa Zaliwów.

2. Przed krucyfiksem.

Nazajutrz, zaledwie noc zbielała, biegł pod pagórek młody chłopak, o wynędzniałem obliczu. Zielona jasność już różowiła się ponad nim, dołem przez całą szerokość nieba szła rozszerzająca się złota wstęga, przed którą zdawał się uciekać blady księżyc. Na wilgotnych od rosy gałązkach drzew i krzewów wieszały się już ruchliwe sikorki i nuciły swe poranne modlitwy. Chłopak szedł wśród tego śpiewu, a w brzasku coraz różowszym i jaśniejszym kreśliły mu się coraz wyraźniej ściany kościółka św. Salwatora. I zaledwie zakrystjan otworzył podwoje świątyni, zaraz do niej się wsunął, przeżegnał się, padł na kolana przed cudownym krycyfiksem, wzniósł oczy do góry i modlić się począł.



Kościółek św. Salwatora na wzgórzu zwierzynieckim i św. Wojciech u stóp krzyża.

To Piotr Skała, ubogi skrzypek do cudownego Chrystusa przybiegł szukać na biedę ratunku.

Wzrok jego biegł już w górę od trzewiczków złotych Chrystusa przez kosztownie bramowaną sukienkę, aż ku złotej koronie i tam opierał się na świętem obliczu Zbawiciela.

— O słodki Panie Jezu Chryste — wołał, ręce wysoko podnosząc — zmiłuj się nad niedolą naszą, nad zdrowiem mej drogiej matki, o ześlij nam pomoc i ratunek!

I znowu po cichu się modlił, sam jeden jeszcze będąc w kościele.

— O Miłosierny Panie Jezusie — wołał znów — jak nad tylu biednemi okazałeś tu swą cudowną łaskę, o ulituj się i nad nami!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SWAT

czyli jak głupia świnia po śmierci za swata służyła.
(Humoreska.)

I.

Prawie mrok padał jesienny, kiedy z za pagórka wąską dróżką wytoczyła się furmanczyna w jedną szkapę zaprzężona. Szkapsko liche było, choć duże, i w dobrych rękach mogłoby być, że hej! ledwo przestąpywało z nogi na nogę, choć ta wóz był próżny, jeno na ocipce słomy chłop siedział niemłody i niestary jeszcze, tylko okrutnie zamyślony. Widać miał jakieś zmartwienie, czy co, bo o całym świecie chyba zapomniał, tak się zaturbował...

Niżej była wieś: w prawo kilkanaście chałup i w lewo z półkopy, środkiem łąki nad rzeką. Właśnie był dojeżdżał do mostu, gdy z tamtej strony ujrzał idących drogą dwu ludzi.

— Hm, — rzekł do siebie, — kto wie, czyby mi Paluchy nie dopomogli w tej sprawie?

— Dobry wieczór, Basiński, jak się macie?

— Prr, prr. Ano takta pomalućku. Skądże wy, z roboty?

— Juści z roboty. A wy skąd? Pewnie z miasta jedziecie. Hale, czy wam co jest, czyście chory, czy zmartwieńsko was jakie gniecie, boście taki posierśnięty? Może się wesele psuje?

Uśmiechnął się Basiński, obejrzał dokoła uważnie, i pochyliwszy się nieco, by bliżej być Paluchów, łokciem się oparł o literkę.

— Juścić ta nieco, sąsiedzie, mam srogą turbację, jakbyście zgadli. Wy macie oko. Ehej, pamiętacie, jak to było łońskiego roku u młynarza?

Wysoki, suchy, kościsty chłop spojrzał bystro na mówiącego.

— Co wam się Jadamie przyśniło? — zapytał.

— No nic, ino mówię, że wy macie oko nie z guzika. Umiecie wypatrzeć. Piękna była mąka i kołacze! Wiecie wy — mówił Jadam, przycichając i oglądając się niespokojnie — wiecie, co wam powiem? Słuchajcie pilnie.

— No?

— Ano, mąkę baby wypiekły, placki my już zjedli, zdałoby się teraz co? Hę, jakże?

Paluchy spojrzeli po sobie. Drugi był drobny, chuderlawy chłopina, ino mu wąsy sterczały, a obaj licho byli ubrani. Nie tak, jak Basiński, który miał i kapotę porządną na sobie i buty wyświaksowane i kołnierzyk gumowy pod brodą. Tylko kapelusinę miał wyszarzaną, pod której szerokim okłapem kryła się cała twarz.

— Onoby się i przydało, ino teraz ciężkie czasy. Do mąki się już nie dobierze.

— E co ta mąka, czy to mięso nie lepsze?

— Hm, — zamyślił się mniejszy Józek Paluch. — Cóż wy Jadamie, Opałowe świnie macie na myśli, czy co?

— A Opałowe. Cóż chcecie, świńsko dzielne 500 złotych rzeźniki dawali, ino przychorowało, więc zabił. Ma być na wesele.

— Cóż z tego? Wyście pono swat. Staśce jakiegoś kawalera wozicie...

— To też to! Wszystko może dobrze być. Ino wy oba co? Ja znam, co jest i gdzie, hm?

Paluchy spojrzeli po sobie, milczeli chwilę, potem Franek zwrócił się do Jadama:

— Ano co? Mybyśmy mogli, czemu nie? Ino się bojewa, czy tu jakiego podejścia niema.

— Edź, bajesz! Dziecko jesteś ty, czy ja? Pierwsze nam to?

— Trzaby się jakoś uradzić.

— Ja już umyśliłem se tak drogą: Pójdę do nich, do Opałów, postawię flaszkę wódki, i będziemy pić. Wy zaś przysadzicie się kaj za parkanem i będziecie czekać. Jak wam się będzie widziało, że se stary wlał i zaczyna mu się gadać, wy wtedy do sieni i po drugiej stronie w komorze leży na korycie mięso — chlast je i na plecy. Ja, jak ta będę mógł przez ten czas, to ich będę zagadywał, a to o tem, a to o owem, wy się zaś zawiniecie i w pola!

— E, w pola, nieprześpiecno, może kto ujrzyć, lepiejby było, wiecie, do sadu Kulasowego, co jest podle, tamby można było oddychnąć.

— Niechby było i do sadu, ino tam pono straszy.

— Straszy, to straszy, co nam ta o to, kto wie, mówią, że pono Kulasy umyślnie taką plotkę puścili, żeby się jaki taki strachał, i na jabłka nie chodził.

— Prawda, tubyśmy się mogli podzielić.

— To już dobrze, pomiarkowania na nas nie będzie miał — skądżeby? A jak się spenetrują, ja już w tem, że się wszystko zwali na Wicka, Opałowego parobka. On się teraz fryga, bo mu o Staśkę chodzi, Opała odrazu uwierzy.

— Ale, ale, z tym Wickiem, to jabym się wolał nie stykać, bo chłop obrotny i silny, jak koń...

— To nic, mogliby go Jadam kaj posłać, do sklepu, abo gdzie pod ten czas.

— Prawdę mówicie Józef, wy macie oko na wszystko. Każę mu po tytoń. Jak wyjdzie, drzwi zostaną niezaparte.

— Hm — zamyślili się Paluchy.

Trza rzec, że złodziejami nie byli, ino, jak im się gdzie co przytrafiło, no to wtedy nie pogardzili. W domu była bieda prawie. Józek miał żonę i dwoje dzieci, zaś Franek tak ta był przy nich. Razem robili, razem, jak mogli żyli. Zaś Jadam miał nietylko chałupinę, ale i parę morgów i krówsko i konia, ale że mu się i robić bardzo nie chciało, a zjeść dobrze lubiał, ciasno było w chałupie. Tak się wziął na insze sposoby.

— Nie macie się co turbować, wszystko dobrze będzie. Grzechu się boicie? E, głupstwo! Ja wam powiem: świnia była chora i żeby jej nie dorżnęli — byłaby zdechła — musieliby mięso wywalić w gnój. Grzechu nijakiego nie będzie! A może baba cosi chce omyśleć, dopieroż się będziemy na chrzcinach weselili!

II.

U Opały w sam raz wieczerzać kończyli, kiedy się dało słyszeć mocne stukanie do drzwi.

— Idźno, Wicek, wyjrzyj. A kto tam? — rzekł stary Marcin, kładąc łyżkę.

Wicek, tęgi chłopak, mrugnął nieznacznie na siedzącą obok Stasię i wstając, uszczypnął ją lekko w ramię.

— Pewnie Basiński wiedzie tego twojego Jantka. Psiakrew, jak go gdzie przycapię w sieni, to mu chyba kości połamię!

Wyszedł do sieni, a Staśka poczęła sprzątać ze stołu.

— A kto tam? — dało się słyszeć mocne pytanie ze sieni.

— Dyć swój, otwórz Wicek.

— Jakeś swój, to se stanij i stój.

— Dy ja, Basiński. Nie poznałeś mię? Otwórzże.

Szczęknęła odsuwana zapora, drzwi się otwarły. Jak na dworze, tak i w sieni ciemno było, a i Wicek umyślnie zamknął drzwi od oświetlonej izby.

— Ino ta ostrożnie idźcie po prawej stronie, bo tam waga stoi — ostrzegał gościa, zawierając drzwi od świata.

Gość szedł ostrożnie i powoli, jednak nim zrobił cztery kroki, w sieni się rozległ huk i szczęk targniętej wagi zbożowej i coś rymnęło, aż ziemia jękła.

— Psiakrew — klął Basiński — czy djabli...

(Dokończenie nastąpi).

Poradnik gospodarczy.

O siewie ozimin.

(Dokończenie).

Dobre sprzęty ziemniaków wyczerpują rolę mocno z składników pokarmowych. Że zaś żyto po ziemniakach się w jesieni prawie wcale nie krzewi i początkowo słabo rośnie, przeto trzeba je koniecznie już w jesieni azotem zasilić. Wtedy nabierze wkrótce siły uwydatniającej się zewnętrznie w ciemno-burym kolorze. Także dawka kwasu fosforowego przed siewem w postaci tomasówki albo superfosfatu będzie zawsze pożądana. Żyto zasiane po ziemniakach nie wylega i daje dzięki temu przy krótkiej mocnej słomie najlepsze ziarno siewne!

Rdza wyrządza w życie dotkliwe szkody. Przeciwko niej nie posiadamy żadnych środków ochronnych. Według ogólnego mniemania przenosi się rdza głównie z berberysu na zboże. Dlatego powinno się wszędzie tam, gdzie się berberys w pobliżu uprawnych pól znajduje, go gruntownie wytępić. W okolicach nadrzecznych nawiedzanych gęstemi mgłami stanowią ślimaki prawdziwą plagę w okresie kiełkowania żyta, które wtedy służy im za pożywienie. Posypywanie miałem wapiennym i kainitem będzie zawsze najlepszą ochroną, poczem należy puścić wał pierścieniowy. Najtrudniejszą była, jest i pozostanie nadal walka z myszami! Najtaniej i najskuteczniej tępi się je przy pomocy nieszkodliwych dla ludzi bakcyli tyfusowych — jednak zarazek ten nie zawsze skutkuje.

Dobra odmiana odgrywa przy uprawie żyta także bardzo poważną rolę!

Kiedy gospodarz powinien zmienić siew?

W pierwszym rzędzie wtedy, gdy jego żyto przy prawidłowej uprawie roli i jej odpowiedniem zasilaniu zaczyna wydawać coraz drobniejsze i lżejsze ziarno oraz nikłą i wątłą słomę. Takie objawy wskazują na konieczność zmiany siewu, a występują wszędzie tam, gdzie się od całego szeregu lat wysiewa jedno i to samo własne ziarno, które choćby było dawniej jak najlepsze, to jednak z biegiem czasu zatraciło swoje cechy i zwyrodniało!

Za zmianą siewu mogą też przemawiać i liczne inne powody, jak n. p. nieodpowiedni w stosunku do gleby gatunek, skłonność do wymarzania zimą, także i kierunek odnośnego gospodarstwa. Taka odmiana bowiem, którąby posiadała wszystkie zalety w najdoskonalszym stopniu, wcale nie istnieje! Wytwarzanie jednej zalety w zbożu odbywa się zawsze na koszt drugiej. Odmiana dająca dużo ziarna wyda mniej słomy, a ilość plonu nie pójdzie w parze z jego jakością. Praktyczny gospodarz postąpi najlepiej, jeżeli sprowadzi odmianę w kraju już oddawna wypróbowaną, posiadającą wszystkie zalety w dostatecznym stopniu. Do takich odmian należy n. p. żyto Petkuskie, którego rozpowszechnienie u nas świadczy najlepiej o jego wartości. Zaś wszędzie tam, gdzie wskutek niskiego położenia terenu lub niekorzystnego składu ziemi żyto jest narażone na wymarzanie w okresie kwitnięcia, należy siać bardzo późno dojrzewające odmiany przesuwające niebezpieczny okres kwitnięcia na czas, w którym przymrozki już się nie pojawiają.

Oryginalne ziarno jest bardzo drogie! Jego odsiewy są równie dobre, a znacznie tańsze i posiadają tę dogodność, że można je wszędzie w kraju nabyć. Przy kupnie trzeba jednakowoż żądać gwarancji prawdziwości i tożsamości zboża. Dlatego najlepiej zamówienia poczynić za pośrednictwem Wielkopolskiej Izby Rolniczej w Poznaniu przy ulicy Mickiewicza, gdzie każdy interesent może ustnie lub piśmiennie zasięgnąć bliższych informacyj. Zazwyczaj jest tam wyłożony spis znanych z uczciwości wytwórców posiadających na sprzedaż pierwsze i drugie odsiewy żyta i pszenicy. Ich nazwiska stanowią najlepszą gwarancję. Ponieważ koszta zakupu i przewozu znacznie taniej się obliczają przy większych ilościach, jak przy mniejszych, przeto leży w interesie włościańskich gospodarstw, ażeby zbiorowo uskuteczniały zamówienia.

Pokaz naturalnych miodów i wosku. Aby zaznajomić szerszy ogół publiczności i dać możność konsumentom łatwego rozpoznania, jak właściwie naturalne miody wyglądają i jakie być powinny, Sekcja pszczelarska Małopolskiego Towarzystwa rolniczego w Krakowie, zamierza urządzić pokaz miodów i wosku, który przypuszczalnie odbędzie się w miesiącu październiku b. r. Celem wyrugowania z handlu tych miodów „lipcowych", reklamowo ogłaszanych, a które lipy prawdopodobnie nie widziały, a tylko może w miesiącu lipcu spreparowane zostały, zechcą pasiecznicy zasilić zamierzony pokaz miodu i wosku swojemi produktami. Pokaz taki winien objąć wszystkie gatunki przednich jakości, w mniejszej zaś ilości miód wrzosowy, miód ze spadzi i wosk. Chętnie byłby widziany i miód w plastrach tegorocznej, nowej roboty pszczelej. Zanim nastąpi wysyłka rzeczonych produktów przez pasieczników, a odbiór przez Sekcję pszczelarską MTR. koniecznem jest dla zobrazowania całości materjału do wspomnianego pokazu, by odnośni pasiecznicy zwykłą kartą pocztową pod adresem: Małopolskie Towarzystwo Rolnicze, Oddział w Krakowie, Plac Szczepański 8, nadesłali swe zgłoszenia, wymieniając, jakie gatunki miodu wysłać mogą z oznaczeniem zarazem ceny względnie wzmianki, że wyrównanie rachunku pozostawia się do oceny Sekcji pszczelarskiej.

Poradnik lekarski.

Biegunka (rozwolnienie) powstaje po zjedzeniu niezdrowych lub nadmiernej ilości pokarmów. Jest to objaw samoleczenia, więc nie należy jej też nagle powstrzymywać. Zwykle usuwa ją sama djeta. Gdyby jednak przeciągała się dłużej, skutecznym środkiem są borówki świeże lub suszone, herbatka z tataraku lub rdestu, nadto proszek z suszonych żołędzi, który należy zażywać dwa razy dziennie na koniec noża. U dzieci powstaje ona wskutek zaziębienia. W czasie choroby nie dawać mleka, ale kleiki, wodę białkową, lub odwar salepu. Na brzuch okład ciepły, lub ewentualnie ciepła kąpiel.

Błonica (dyfterja) jest to choroba straszna i bardzo zaraźliwa. Jest to zapalenie gardła i krtani z tworzeniem się białych błon i owrzodzeń. Jeżeli tylko spostrzeże się podobne objawy, należy natychmiast zawezwać lekarza, gdyż wszelkie środki domowe nic tu nie pomogą; chory może umrzeć w ciągu kilku godzin. Nim lekarz przybędzie należy dawać na szyję okład wysychający, a u starszych płókać gardło słoną wodą, wodą z octem i miodem lub wodą utlenioną.

KRONIKA.

Pogoda w październiku. Jak przepowiadają rozmaici astrologowie, październik będzie przeważnie chłodny. Wprawdzie w dzień, gdy słońce przygrzeje, ciepłota wrośnie do kilkunastu stopni, lecz noce będą bardzo chłodne, a nawet ze szronem i przymrozkami.

Pewien meteorolog francuski przepowiada, że tegoroczna zima będzie jeszcze mroźniejsza, aniżeli ubiegła. Jedyną pociechą według niego jest to, że następne lato będzie nadzwyczaj upalne, co nam wynagrodzi mrozy. Mała pociecha.

Wycofanie papierowych pięciozłotówek. Mennica państwowa wybiła dotychczas 5 miljonów sztuk nowych srebrnych 5-złotówek. Monety te zostały dostarczone skarbowi Banku Polskiego, który puścił monety w obieg przy równoczesnem wycofywaniu 5-złotowych papierowych biletów skarbowych. Ogółem wybije mennica państwowa 28 miljonów nowych srebrnych monet 5-złotowych. Wybijanie zakończone zostanie w październiku 1930 r. i do tego czasu wycofane być mają z obiegu wszystkie 5-złotowe papierowe banknoty. Czyli innemi słowy papierowe pięciozłotówki będą w obiegu do października 1930 r., a więc jeszcze cały rok.

Krwawa zabawa na weselu. Onegdaj koło godziny 6 wieczorem patrol policyjny z posterunku policyjnego w Prokocimiu, złożony z trzech funkcjonarjuszów policyjnych, został zaalarmowany w Piaskach Wielkich pod Krakowem strzałami rewolwerowymi. Strzały te padły z domu Kunegundy Laszczykowej, gdzie odbywała się zabawa weselna. Na odgłos strzałów patrol policyjny skierował swe kroki ku domostwu Laszczykowej, gdzie między dwoma partjami parobczaków wrzała już gwałtowna bójka. Z pośród obu stron padały gęsto kamienie, rzucane rękami kilkudziesięciu osób na podwórze i ogród domu Laszczykowej. Równocześnie padło kilkanaście strzałów rewolwerowych z pośród bijących się. Policja wezwała bijących się do zaprzestania bójki i dała kilka strzałów w powietrze. W odpowiedzi na to awanturnicy obrzucili patrol policyjny gradem kamieni i dali kilka strzałów rewolwerowych. Od rzucanych kamieni jeden policjant odniósł ranę w górną część dłoni i silne uderzenie w łokieć, drugi zaś ciężko został ranny w czoło. Mimo to, funkcjonarjusze policyjni wkroczyli między napastników, którzy widząc energiczną postawę policji, rzucili się do ucieczki. Po kilkugodzinnym pościgu ujętych zostało 11 uczestników bójki, liczących przeważnie kilkanaście lat życia. W czasie rewizji przy jednym z przytrzymanych znaleziono rewolwer, zaś przy drugim nóż obryzgany krwią. W czasie bójki, jak stwierdzono, doznali ciężkich uszkodzeń wymieniona Laszczykówna, córka jej Helena i syn Marjan, oraz Karol Mrożek, Szczepański Stanisław i Czesław Piskorz. Wszystkich przytrzymanych oddano do więzień sądowych w Krakowie Za tymi, którym udało się zbiec, policja zarządziła poszukiwania.

Wielki pożar w Kostrzy. W ubiegły piątek krakowska straż pożarna zawezwaną została w godzinach porannych do Kostrzy, koło Tyńca. W ogniu stanął dom mieszkalny i stodoła Jana Różyckiego, z którego pożar przeniósł się za domostwo Nowaka oraz stodołę Jana i Franciszka Jedynaków. Olbrzymie słupy ognia zaalarmowały sąsiednie straże ochotnicze, jak: ze Skotnik, Kobierzyna, Zakładu Pomp na Bielanach i t. d. Pożar był tem groźniejszy, że objęte pożarem stodoły były wypełnione tegorocznymi zbiorami. Brak wody utrudniał akcję ratowniczą okolicznych straży, dopiero straż krakowska przy użyciu węży poczęła pompować wodę ze stawu okolicznego, tamując dalsze rozszerzanie się szalejącego żywiołu. Po kilkugodzinnej akcji ratowniczej zlikwidowano pożar, który zniszczył mimo to 5 zabudowań.

Rabunek w pociągu. W jednym z wagonów pociągu zdążającego z Krakowa do Lwowa typu niemieckiego, w którym drzwi wchodowe były z boku, jechał Dawid Broncher, kupiec zamieszkały stale w Łodzi. Gdy pociąg ten ruszył ze stacji w Chorośnicy w kierunku Sądowej Wiszni i Lwowa, nagle w odnośnym przedziale otworzyły się drzwi, w których stanął jakiś osobnik. Chwycił on wiszące obok drzwi palto Bronchera i zanim w przedziale zorjentowali się pasażerowie, złodziej zeskoczył z pociągu, będącego w ruchu i umknął w pole.

Rabunek pod Złoczowem. Onegdaj wieczorem drogą do gminy Dzwoniec pod Złoczowem zdążał Chaim Scharf z Majdanu koło Brodów. W pewnym momencie zaszedł mu drogę jakiś osobnik. Rzuciwszy się na Scharfa, tępem narzędziem najpierw uderzył go między oczy, a następnie pobił go po głowie, zadając mu kilka ran. Gdy Szarf stracił przytomność i runął na ziemię, napastnik zrewidował mu kieszenie i zabrał 70 zł., oraz 34 dolary, poczem umknął z łupem. Zawiadomiona o tym rabunku policja, wdrożyła dochodzenia i zdołała ująć rabuśnika. Jest nim niejaki Franciszek Masarz z Dzwońca.

Tragedja młodożeńców. W Łodzi przy ul. Młynarskiej L 9, zdarzyła się wstrząsająca tragedja rodzinna. Już był naznaczony termin ślubu 21-letniej Chaji Międzygórskiej ze Szmulem Fingerem. Dzień przed ślubem narzeczona pokłóciła się ze swoją matką na temat posagu. Międzygórska odkładała sobie zarobione pieniądze i dawała matce do przechowania. W przeddzień ślubu jednak przekonała się, że matka pieniądze te wydała. W związku z tem zrozpaczona Chaja wyskoczyła z drugiego piętra na bruk, nie czyniąc sobie nic złego. Gdy na miejsce wypadku przybył zaalarmowany tem wszystkiem Finger i dowiedział się o powodzie desperackiego kroku narzeczonej, dostał ataku szału. Młodą parę w jednej karetce odwieziono do szpitala.

Wierny i mądry pies. W ubiegłym tygodniu przechodnie przy ul. Twardej w Warszawie byli świadkami niezwykłego wydarzenia. Idący z psem-wilczurem na smyczy 46 letni Michał Pępkowski dostał nagle ataku epileptycznego i upadł na chodnik. Wierny pies, nie mogąc zwolnić smyczy, która znalazła się pod chorym, przegryzł ją, a następnie rozpiął zębami palto i marynarkę swego pana, poczem pociągnął go za kołnierz pod ścianę. Pies nie chciał nikogo z przechodniów dopuścić do chorego i dopiero po przybyciu dwóch policjantów, którzy odciągnęli psa na bok, lekarz pogotowia mógł udzielić choremu pomocy. Jak się okazało, Pępkowski jest długoletnim trenerem psów, zaś wierny ratownik swego pana nazywa się Markiz.

Dymisja gabinetu litewskiego. W ubiegłym tygodniu podał się do dymisji wraz z całym rządem osławiony Woldemaras, który, gdzie mógł, występował przeciw Polsce, aby jej szkodzić. Nawet Litwini mieli już dość owego pana, więc prezydent Smetona zmusił go do ustąpienia. Nowy rząd utworzył jeden z dotychczasowych ministrów p. Tubialis. Do rządu tego weszli wszyscy dotychczasowi ministrowie z wyjątkiem napędzonego Woldemarasa. Czy nowy rząd będzie mądrzejszy od dawnego, wątpić należy.

Starożytne miasto na Litwie. Z Kowna donoszą: Sensacją Litwy są wykopaliska, jakie przybyli archeolodzy szwedzcy odnaleźli przy rozkopywaniu t. zw. kurhanu apolskiego, położonego w pobliżu miasta Skondy. Uczeni szwedzcy przybyli do Litwy z zamiarem odnalezienia jakichkolwiek śladów pobytu dawnych wikingów; rozkopując kurhan, natrafili na murowaną ścianę, po u-

silnem kopaniu odkopano miasto Apol, zasypane wydmą. Do dziś dnia rozkopano przestrzeń półtora hektara. Uczeni szwedzcy, którym towarzyszą z ramienia rządu litewskiego prof. Wolteris i gen. Najawinas, są zachwyceni rezultatem prac, tak, że po przerwie prowadzą je w dalszym ciągu.

Rozwiązanie parlamentu czeskiego. Prezydent Rzeczypospolitej czechosłowackiej rozwiązał tamtejszy parlament. Nowe wybory odbędą się prawdopodobnie 27 października.

Tajny związek trucicielek. W wiosce węgierskiej Nagyrew rozegrała się tragedja, przypominająca żywo stosunki średniowieczne w najujemniejszem tego słowa znaczeniu. Istniał tam tajny związek trucicielek, istny zbiór czarownic, pozbawionych wszelkich humanitarnych instynktów, które w ciągu 17 lat wytruły ponad 50 osób. 40 kobiet należało do tego związku i przez 17 lat truły ludzi, nie zdradzając się i nie ściągając na siebie uwagi. Jedna z nich, Elżbieta Naroti, otruła swego teścia, Marja Litka zgładziła ze świata swojego męża i trzech szwagrów, Emma Tolas zamordowała swego męża i kochanka. Józefa Siley swego ojca, p. Kowalos własnego syna, p. Dari otruła matkę, męża i kochanka. Jest to tylko kilka wypadków, przytoczonych z tej całej grozą przejmującej serji. Trudno znaleźć wytłumaczenie tej trucicielskiej roboty.. Wyświetli ją zapewne przewód sądowy. Kobiety te nie były ani pod wpływem kina, którego niema w promieniu wielu kilometrów, ani też pod wpływem kryminalnej lektury. Na proces, który ma się wkrótce rozpocząć, przewidziany jest zjazd dziennikarzy z wielu państw europejskich.

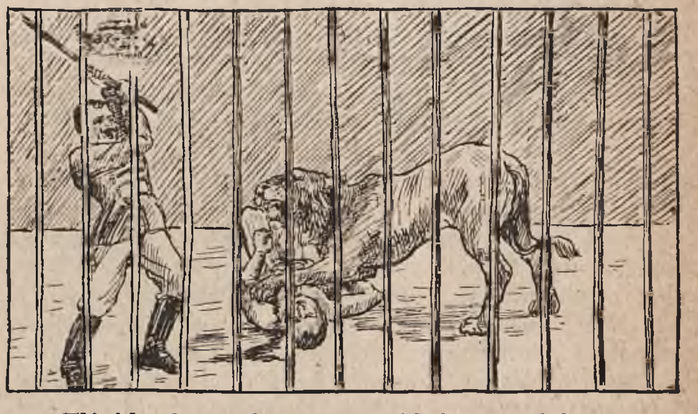
Tragiczna śmierć niedźwiedzia. Niezwykła scena rozegrała się w tych dniach obok miejscowości Ditro w Siedmiogrodzie. W ostatnich czasach w Karpatach siedmiogrodzkich silnie rozmnożyły się niedźwiedzie. Jeden z misiów, okaz niezwykle potężny, pod wpływem głodu zapędził się aż pod miasteczko Ditro i napadł na trzodę wołów, pasącą się koło gościńca. Przerażone zwierzęta rozbiegły się w dzikim popłochu, a pasterz pognał, by sprowadzić pomoc. Niedźwiedź ścigał okazałego wołu, który pędził gościńcem ku miastu. Wreszcie widząc, że nie ujdzie, wół odwrócił się i z nastawionemi rogami oczekiwał ataku. Niedźwiedź skoczył mu na kark i zatopił w nim pazury. Właśnie w tym momencie nadjechał autobus pełen podróżnych. Szofer, widząc, co się dzieje, dał przeraźliwy sygnał trąbką. Przerażony niedźwiedź chciał puścić zaatakowane przez siebie zwierzę, jednak pazury jego były tak głęboko wbite w kark ofiary, że tylko miotał się obok powalonego wołu. Wówczas szofer, opanowując sytuację, puścił autobus całym pędem i przejechał drapieżną bestję na śmierć. Było to wyjątkowe „przejechanie“, za które jego sprawca spotkał się z uznaniem.

Przesilenie w Austrji. Rząd republiki austrjackiej podał się do dymisji. Miejsce ustępującego kanclerza (prezydenta ministrów) Streeruwitza zajął dotychczasowy prezydent policji Schober.

Kasztan bez liści okryty kwiatami. Na rogu jednej z ulic w stolicy Austrji w mieście Wiedniu kasztan, z którego opadły już całkowicie liście, okrył się kwieciem. Liczni przechodnie z podziwem oglądają ten cud natury.

Straszna śmierć fakira. Od szeregu lat produkował się po różnych teatrzykach europejskich znany „fakir“ Bakaman, z pochodzenia Włoch, nazwiskiem Pietro de Castro. Szczyt jego produkcji stanowiło pogrzebanie żywcem w trumnie, którą grabarze na scenie przysypywali grubą warstwą ziemi. Bakaman pozostawał w trumnie przez trzy godziny, a w tym czasie przedstawienie na scenie nie doznało przerwy. Produkcję tę wykonał „fakir“ setki razy i dorobił się w ten sposób miljonowego majątku, aż wreszcie znalazł okropną śmierć w trumnie. Stało się to podczas przedstawienia w pewnym teatrze rozmaitości w Kordobie. Gdy po upływie programowych trzech godzin grabarze odrzucili ziemię i jeden z klownów podniósł wieko trumny, publiczność zaniepokoiła się tem, że fakir nie wstawał. Wtem nagle klown zwrócił się do publiczności z okrzykiem: „Ależ on umarł naprawdę!“ Powstała panika, na scenę weszli funkcjonarjusze policji, którzy stwierdzili śmierć nieszczęśliwego. Naturalnie położenie ciała, kurczowo powykręcane członki oraz okropny wyraz twarzy wskazywały na to, że Bakaman stoczył rozpaczliwą walkę ze śmiercią, chcąc się wydobyć z dobrowolnego więzienia. Lekarze, którzy orzekli, że śmierć nastąpiła przez uduszenie, wyrazili zdziwienie, że „fakir“ dawno już nie padł ofiarą swych intratnych, ale, jak się okazało, niebezpiecznych eksperymentów.

Wstrząsająca scena w cyrku. Cyrk Fischera objeżdża teraz miasta środkowej Europy, poprzedzany sławą doskonale wytresowanych dzikich zwierząt. Onegdaj, podczas przedstawienia w Salcburgu, rozegrała się w cyrku wstrząsająca scena. Program zapowiadał arcyciekawy numer z tygrysem i tresowanymi lwami. Tuż przed wstąpieniem tych bestyj na arenę, poskromiciel Lessiak chciał napoić jednego z lwów. Podczas karmienia jeden z lwów wyrwał się i pobiegł na arenę, ciągnąc za sobą Lessiaka w swoich łapach.



Wśród zebranych w cyrku widzów powstała straszna panika. Wielu zerwało się z miejsca i poczęło uciekać. Jeden z towarzyszy Lessiaka, złapawszy gruby kij, pobiegł odpędzić krwiożerczą bestję, jednak omal że lew i na niego nie rzucił się. Wreszcie na arenie ukazała się służba cyrkowa. Wystrzałami z rewolwerrów odgonili bestję od Lessiaka, który nieprzytomny leżał w kałuży krwi. Ciężko rannego odwieziono do szpitala. Przedstawienie przerwano.

Walka z religją w Rosji. Z inicjatywy związku bezbożników na całem terytorjum Rosji sowieckiej odbywa się pogrom prawosławnych klasztorów. Oddziały milicji sowieckiej zmuszają zakonnice i zakonników do opuszczania budynków klasztornych, cerkwie są zamykane, cały majątek klasztorów ulega rekwizycji. W tych wypadkach, w których ludność lub zakonnicy usiłują stawić czynny opór władzom komunistycznym, milicja dokonywa aresztowań. Ostatnio aresztowano w gubernji kałuskiej kilkunastu mnichów z archimandrytą Janaszem na czele.

Ukrzyżowany dziennikarz. W jednej z wiosek w gubernji tulskiej chłopi porwali dziennikarza komunistycznego Lepkina, który „naraził się“ im w jakimś swoim artykule i ukrzyżowali go. Lepkin został znaleziony przez przechodniów w stanie na pół martwym.

Wylew studni. Z Berlina donoszą: We wsi Bussin, położonej w pobliżu Kołobrzega, polecił właściciel majątku pogłębić znajdującą się w podwórzu studnię. Podczas przeprowadzania odnośnej pracy natrafiono na żyłę wodną, z której zaczęła bić w górę woda z taką siłą, że w niedługim czasie zagrożone zostały wszystkie zabudowania zalewem. Gdy po kilku daremnych próbach zatamowania wody chwycono się zalecanego sposobu wykopania w pobliżu drugiej studni, aby odciągnąć wydobywającą się wodę, osiągnięto wręcz przeciwny skutek. Od kilku dni wydobywają się teraz z dwóch źródeł olbrzymie masy wody, które zniewoliły właściciela do opuszczenia mieszkania i wyprowadzenia inwentarza z zagrożonych budynków.

Ucieczka przed ślubem. W miejscowości Kassel rozegrała się komiczna scena w tamtejszym urzędzie cywilnym. Pewien młody człowiek miał się ożenić z córką pewnego krawca. Naraz gdy młodą parę wywołano, okazało się, że pan młody znikł bez śladu. Szukano go naprózno. Panna młoda zemdlała, potem zaczęła krzyczeć i podarła ze złości wszystkie dokumenty. Po upływie pół godziny przyniósł posłaniec list od pana młodego. Oświadczył on, że zrywa z swoją narzeczoną i nie chce się żenić, ponieważ w ostatniej chwili obleciał go strach. Nigdy jeszcze nie odczuł takiej potrzeby wolności. Wydawało mu się, że znajduje się przed czarną bramą więzienia i zrozumiał wtedy, co czuł Dostojewski w chwili grożącego mu stracenia.

Kelnerki w spodniach. W berlińskich kawiarniach gotują się obecnie wielkie zmiany. Chodzi mniej więcej o to, że męska obsługa ma być zastąpiona przez damską. W wielu berlińskich kawiarniach, które przeważnie są tylko wielkiemi cukierniami (ścisłej granicy niema) obsługują gości kobiety. System ten ma być wprowadzony również w innych lokalach. Wśród kelnerów panuje z tego powodu wielkie wrzenie, ponieważ obawiają się konkurencji i bezrobocia. Berlińscy kelnerzy nie zasługują w zupełności na pochwałę. Przeciwnie kelnerki berlińskie są zawsze uprzejme, zwinne, usłużne i, co najważniejsze, znacznie tańsze. Obecnie właściciele kawiarń noszą się z planem sprawienia kelnerkom jednolitego uniformu Najciekawszą stroną tego uniformu będą jedwabne spodnie podług mody angielskiej. O te spodnie toczy się obecnie spór między właścicielami. Jedni chcą je wprowadzić, inni twierdzą, że nie odpowiadają one godności lokalu. Kelnerki natomiast wyraziły swoją zgodę na spodnie. Reforma zostanie więc najprawdopodobniej wkrótce przeprowadzona i wywoła z pewnością sensację.

Zakonnica i szofer. Przy ulicy Beaufortstreet w Londynie wydarzył się niedawno śmiertelny wypadek przejechania. Na przechodzącą wpoprzek ulicy zakonnicę katolicką, z zakonu Sakramentek, 68 letnią siostrę Helenę, najechał automobil ciężarowy. Szofera postawiono natychmiast przed sąd, ale podczas rozprawy pod adresem lekarza sądowego przyszedł prawdziwie wzruszający list od przełożonej klasztoru, do którego siostra Helena należała, a sędzia głośno list ten odczytał. List ów kończył się następującemi słowy:

„Nie możemy wprost pomyśleć o tem, ażeby go ukarano z naszego powodu. Odczułybyśmy to boleśniej nawet, aniżeli śmierć naszej kochanej siostry, o której wiemy, że poszła do nieba. Modlimy się do Wszechmocnego Boga, ażeby ten biedak rychło został uwolniony od wszelkiej dalszej trwogi. Jak słyszałyśmy, jest to człowiek, który ma rodzinę“...

Modły żyjących sióstr tragicznie zmarłej zakonnicy zostały wysłuchane. Szofera uwolniono.

Sposób na żony. W pewnem angielskiem piśmie perjodycznem poruszano niedawno kwestje, w jaki sposób mężowie obchodzić się powinni z żonami. Jednozgodnie oświadczyły najpierw żony, że tak zwany tyran domowy z góry skazany jest na przegraną. Kto bowiem swojej żonie wszystkiego zakazuje, ten właśnie powoduje ją do tego, aby robiła wszystko to, czego mąż sobie nie życzy. Kto jednak niepozornie pozostawia wolę czynienia, jak jej się podoba, ten w końcu będzie mógł nią kierować według własnej woli. Dobrocią wszystko z kobietą zrobić można, surowością bardzo mało, lub nic zgoła. Jeśli ktoś chce, aby żona była oszczędna, to niech jej nie wymyśla, tylko chwali jej oszczędność. Niech jej powie, jak czuje się szczęśliwym, że z jej pomocą wydaje mało pieniędzy, a żona z pewnością będzie miała ambicję zasłużenia na tę pochwałę. Traktować kobietę w sposób właściwy jej najłatwiej w świecie, lecz tak mało mężczyzn stara się tego nauczyć.

Niebywała susza w Anglji. W ciągu ubiegłego miesiąca, poczynając od dnia 23 sierpnia r. b. w Londynie i okolicy panowała nienotowana od 71 lat susza. Gwałtowne ulewy nawiedziły jedynie niektóre okolice zamiejskie i prownicje hrabstw Londynu, Lussex, Essex i Surrey. Od roku 1858 t. j. od 71 lat tylko kilkakrotnie notowano podobne wypadki suszy. Władze miejskie nie obawiają się braku dostatecznego dopływu wody dla zaspokojenia olbrzymich potrzeb wielkiego miasta, jednak celem uniknięcia ewentualnych przykrych niespodzianek, zalecono ludności oszczędne spożycie wody filtrowanej. Biuletyn meteorologiczny zapowiada dalszą suszę

Gwałtowna burza. Gwałtowna burza, której towarzyszył ulewny deszcz, przeszła nad okolicami Londynu, kładąc kres suszy, która trwała od miesiąca W wielu miejscowościach ulice zamieniły się na potoki. Od uderzenia pioruna poniosły śmierć trzy osoby. Koło Eastgrinstead piorun uderzył w drzewo, pod którem ukryło się kilkanaście osób Dwie osoby zostały zabite, kilkanaście zaś odniosło rany.

Masowy zamach w Meksyku. Z Meksyku donoszą: Na kandydata na prezydenta Josi Basconcellos dokonano w ubiegłym tygodniu w Torreon w stanie Coahutla zamachu. Kiedy Basconcellos późno w nocy wygłaszał z balkonu hotelu mowę wyborczą, oddano do niego z ciemnego zakątka ulicy salwę rewolwerową. Powstała panika, dzięki której sprawcy zamachu zdołali umknąć. Basconcellos cudem uniknął śmierci. Z powodu strzałów zostały zabite dwie osoby, 5 zaś odniosło rany. Ogółem oddano przeszło 100 strzałów.

Złodziejski dowcip. Młode małżeństwo, zakochane w sobie, spędzało zawsze wieczory w domu. Pewnego popołudnia otrzymali w liście od niewiadomego ofiarodawcy dwa bilety do teatru. W kopercie znajdowała się przy biletach kartka tej treści: „Zgadnijcie, kto przysyła“! Przedstawienie było tego dnia wystawione bardzo dobre, bilety też dobre, co do krzeseł, więc nie łamiąc sobie zbytnio głowy, kto im zrobił taką miłą niespodziankę, poszli na przedstawienie. W powrotnej drodze dopiero zaczęli się więcej nad tem zastanawiać, kto im mógł przysłać bilety. Doprawdy nie mogę się domyśleć, kto nam wyświadczył tę sympatyczną przysługę — oświadczyła przemile nastrojona żoneczka. W parę chwil później weszli do swego mieszkania i po zaświeceniu lamp stanęli oniemieli: biurko było rozbite, kufry pootwierane i puste, szafy również. Na stole leżała kartka z napisem: „Teraz już wiecie chyba, kto przysłał bilety“.

RZECZY CIEKAWE.

Historyczne konie.

Wielka jest liczba koni, których imiona złączone są z wypadkami lub osobami głośnemi w historji. Wiele z nich nawet wpłynęło wydatnie na bieg wypadków.

Król perski, Darjusz, swój tron zawdzięczał koniowi. Siedmiu znakomitych Persów, a między nimi Darjusz, ubiegało się o tron, po zamordowaniu czarownika Saumata. By rozstrzygnąć spór bez krzywdy, postanowili, że ten zostanie królem, którego bojowy koń pierwszy powróci z lasu. Przybiegł pierwszy koń Darjusza, ale dlatego, że wierny giermek ukrył go w pobliskim zagajniku, czego inni konkurenci do tronu nie zauważyli.

Ludwik XV został królem Francji również dzięki koniowi, z którego spadł brat jego, przeznaczony do tronu i tak nieszczęśliwie się potłukł, że wkrótce umarł.

Francuski mąż stanu, Thiers, bardzo cenił swego rumaka, którego nazwał „Yata". Yata była olbrzymiego wzrostu, niezmiernie chuda.

Pewnego dnia wybuchły rozruchy na ulicach Paryża. Thiers wjechał w środek tłumu, by go uspokoić. Na widok „Yaty" tłum opanował taki szalony śmiech, że w jednej chwili wszystko zostało zażegnane i ludzie z humorem rozeszli się spokojnie do domów.

Wiele jeszcze imion rycerskich koni przeszło do historji. Najsłynniejsze między niemi są: Babieca — Cyda, Bucefał — Aleksandra Wielkiego, Incitatos — Kalliguli, wielki koń Trojański i Rosynant — Don Kiszota.

Okropna kara śmierci.

Rozmaite formy miewa kara śmierci. Sposób wykonywania wyroków na wyspie Kubie jest okropny, gdyż tam skazanych się dusi.

Do tej okropnej śmierci służy przyrząd pochodzenia hiszpańskiego, zwany „garrota". Jest to fotel, na którego oparciu znajduje się żelazna obręcz przeznaczona na objęcie szyi delikwenta. Zapomocą śruby ściąga się tę obręcz, która wysadza pierwszy kręg pacierzowy i w ten sposób sprowadza szybką śmierć.

Równie okrutnym, jak samo narzędzie śmierci jest wybór kata, który nosi piękny tytuł „ministra tracenia". Kaci kubańscy to skazani na śmierć zbrodniarze, którym zmieniono karę na dożywotnie więzienie pod warunkiem, że obejmą czynność kata.

Doprowadza to nieraz do bardzo tragicznych sytuacyj, gdyż ci nieszczęśnicy muszą nieraz tracić na „garrocie" swoich wspólników i najbliższych towarzyszy.

Browary w Polsce.

Zgodnie z danemi ministra skarbu było czynnych w ubiegłym roku na terenie Rzeczypospolitej 188 browarów, z których 79 znajduje się na terenie województw centralnych i zatrudnia 2.205 robotników, 47 — w wojew. zachodnich i zatrudnia 1.648 robotników, 41 — w wojew. południowych i zatrudnia 2.054

robotników, wreszcie 21 — w wojew. wschodnich i zatrudnia 311 robotników.

Ogólna produkcja piwa wyniosła (w tysiącach litrów) — 251.050, z czego na województwa południowe przypada 106.203, na wojew. zachodnie — 71.154, na wojew. centralne — 61.167, wreszcie na wojew. zachodnie — 12.526. Zużyto na produkcję (w tonnach) słodu — 50.106, chmielu — 855 i innych produktów —101.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Jan Pelczar** w W. S.: Artykuł bardzo dobry; damy go w jednym z najbliższych numerów, jako wstępny. — **Bronisław Słomka** w J.: „Za Ojczyznę" jest to epizodzik bardzo serdecznie opisany, ale temat był już tyle razy omawiany, że niema w utworze Pańskim nic nowego. — **Piotr Kowalski** w D.: Zagadki zupełnie dobre, więc je wszystkie umieścimy. W szaradach znać łatwość rymowania; możeby Pan popróbował i na innem polu np. wierszyk, nowelkę, artykulik lub coś podobnego, bo talent jest, więc szkoda go zmarnować. — **Stanisław Goldberger** w N. S.: W nadesłanych nam wierszykach znać, że tak powiemy, lwi pazur, choć jeszcze tu i ówdzie chromają w wykończeniu. Najsolidniej wykończony jest wiersz „Do zmarłych", choć i inne posiadają dużo walorów. Niektóre z nich zamieścimy. — **Kazimierz Kraska** w N.: Artykuły nie podpisane żadnem nazwiskiem są przeważnie pisane przez redaktora „Roli". Redagowanie takiego pisma, jak „Rola", nie jest rzeczą łatwą; łatwiej napisać nawet dobrą powieść, aniżeli wypuścić w świat naprawdę dobry jeden numer „Roli". Niech Pan pomyśli: w przeciągu tygodnia trzeba przygotować do druku dwie powieści, obmyślić i napisać, lub wybrać artykuł wstępny, objaśnić wierszem lub prozą obrazek na stronicy piątej, przejechać się po szerokim świecie i zebrać to, co najciekawsze, aby opisać potem w Podróżach po dalekich krajach, pogadać z Maćkiem i skłonić go, żeby opowiedział coś ciekawego, przeczytać kilkadziesiąt nadesłanych utworów i wybrać z nich jeden lub! dwa do druku, przeglądnąć kilkadziesiąt gazet codziennych i wyszukać w nich większą ilość ciekawych wydarzeń i opisać je potem do „Roli", przerzucić parę książek lub czasopism, aby wyszukać i zapełnić dział „Rzeczy ciekawych", wybrać z nadesłanych zagadek kilka i przygotować je do druku, a wreszcie przeczytać całe stosy listów, których dziennie przychodzi do Redakcji kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt. Ażeby to choć nasi Czytelnicy wszyscy pisali wyraźnie; czasem trudno liter odcyfrować! To dopiero przygotowanie numeru. Następuje druga czynność: W drukarni złożą to, co się im da do druku, ale tam praca idzie szybko, wskutek czego w układzie zdarzają się pomyłki. Trzeba je poprawić i dać do poprawy drukarni, a gdy ona je poprawi, trzeba to skontrolować, czyli rzecz jedną i tę samą poraz może dziesiąty czytać. I znów gdy w drukarni wszystkie utwory poprzełamują na szpalty i stronnice tak, jak to już idzie do rąk Czytelnika, trzeba wszystko przeglądnąć, aby nie było żadnej pomyłki. W innych redakcjach robi to kilku ludzi, w Redakcji „Roli" jeden człowiek, bo „Rola" nie może sobie pozwalać na wielkie wydatki, gdyż nie mogłaby być tak tania. Przy takim nawale pracy czasem musi się zakraść jakaś niedokładność, jak to było właśnie z powieścią w numerze 37. Ale wobec tego ogromu pracy są to drobiazgi.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Alfons Czader z S. W.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ Część ciała.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Góry w Europie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj w Afryce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Roślinność.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Choroba.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Dopływ Warty.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Członek rodziny.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Pieniądz.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto w Grecji.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzeka we Francji.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Cesarz rzymski.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Ptak domowy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Zwierzę domowe.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzeka w Azji.

Litery początkowe czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko wodza polskiego.

2. Zagadka.

(Ułożył Bronisław Gołębiowski).

Smukłą, milutką, w bieluchnej szacie,
Spotkasz w salonie, spotkasz i w chacie.
Nam czyniąc przysługę, biedaczka zanika,
Powoli maleje, w końcu całkiem znika.

3. Szarada.

(Ułożył Józef Staniek z Z.).

Pierwsze czwarte każdy siodlarz
Łatwo zrobić może,
Czwarte drugie gospodyni
Rano kurom zboże.
Trzecie pierwsze w obfitości
Z ziemi dobywają,
Pierwsze pierwsze także czasem
Ojca nazywają.
Czwarte trzecie pół pierwszego
Dostanie w aptece.
Pierwsze drugie pół trzeciego
Znajdziesz w każdej książce.
Całość wiele ludzi często używają,
Chociaż z tego nigdy korzyści nie mają.

4. Kalambury.

(Ułożył H. Bilka-Głębicki).

I.

Leży moneta na stole,
Przy niej ryba — leżą wspole
I czytane razem wrzędzie,
Genjusz z Ameryki będzie.

II.

Znaleźć nazwisko
Malarza polskiego,
Co się z ptaka składa
I kosza rybiego.

5. Kryptogram.

(Ułożył Józef Weber).

. j n . . t . j . st c . . żk . chw . l .
K . . d . s . p . . c . m . g . ł .
. l . t . j . st c . . żk . chw . l .
K . . d . rz . c . sz c . c . m . ł .

Dodać samogłoski i odczytać złotą myśl Marji Konopnickiej.

6. Figielek.

(Ułożył Piotr Kowalski z D.).

Dziki zwierz i zwierz domowy
Tworzą „figlik szaradowy",
Czynią hałas co się zowie,
Że aż ludziom huczy w głowie.

Za rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 12 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 38 „Roli": 1. Logogryf: Sahara. 2. Szarady: I. Pireneje. II. Maskarada. III. Karykatury.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Marja Woźniakiewicz z G., Jan Matuszkiewicz z G., Józef Kopacz z S., Józef Topolski z B., Jakób Jeziorański z K., Józef Garczek z C., Władysław Piątek z Ż., Wincenty Zajda z M., Tadeusz Kwerka z W., Piotr Kowalski z D., Józef Rodak z T., Józef Staniek z Z., Mieczysław Szczurowski z D., Józef Baziuk z K., Sekretarz gminny z Chmielowa, Jan Gara z W., Franciszek Bojda z J., Mieczysław Kleczkowski z K., Władysław Gołda z L., Kazimiera Ćwiorówna z Ch., Władysław Sołtys z N. S., S. Dąb z J., Marjan Pawełek z B., I. Zajączkowski z S., Alfons Czader z S. W., Józef Markus z K., Piotr Wenc z Ś., Jan Dąbrowski z Ś., Franciszek Macioł z S. B., Walenty Bal z S. B., H. Irecka z G., Józef Grad z W. B., Kazimierz Irzyk z G., Jan Żółtek z K. i Stanisław Matuga z Ł. D.

Nadto p. Jan Łański z K. nadesłał rozwiązanie w następującym dowcipnym wierszyku: W Redakcji „Roli" są tam dzielni ludzie i dzielnie pracują, choć w znoju i trudzie. Dzielny jest to człowiek redaktor Bassara, który nam opisał pustynię **Sahara.** Wie on bardzo wiele, co się w świecie dzieje, więc też nam opisze góry **Pireneje.** Ja go bardzo lubię, to wam powiem z góry... Ci, co go nie lubią, to **karykatury.** Sam się w chwałę nie ubiera, bo to nie wypada; bo to przecież nie jest żadna **maskarada.**

Nagrody wylosowali pp.: Wincenty Zajda z M. i Piotr Kowalski z D.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Dobra droga.

Przez wieś jadą jacyś podróżni samochodem powoli, bo droga kiepska. Wreszcie zatrzymują się, a jeden pyta przechodzącego właśnie wójta:

— Moiściewy, czy tam dalej dobra droga?

— A dobra, dobra, ino w jednem miejscu jest tam taki mostek, co go niema.



Kto ciągnie?

— A ty, hyclu jeden, — woła matka na siedmioletniego syna — a czegoż ty tak ciągniesz tego kota za ogon, aże mrauczy.

— Nieprawda, ja go nie ciągnę, ja go ino trzymam, a on sam ciągnie.



Na wiejskiej drodze.

— Bartek! którędy trzeba jechać do Wólki?

— A skąd pan wie, że mi Bartek na imię?

— O, ja wszystko wiem.

— A to pewnie wie pan także, którędy się jedzie do Wólki.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:
w dniu 27 września b. r.
Płacone za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·18 do 1·75 zł.	Jałownik	od 1·01 do 1·68 zł.
Woły . .	od 1·26 do 1·76 zł.	Cielęta .	od 1·81 do 2·76 zł.
Krowy .	od 0·95 do 1·68 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·63 do 2·85 zł.	Nierogaciznę lżej wagi	od 2·90 do 3.60

Giełda płodów rolniczych
z dnia 27 września b. r.

Pszenica .	38·00—39·00	Słoma długa	10·00—11·00
Żyto .	24·00—25·00	Ziemniaki stoł.	7·00—8·00
Owies . .	22·00—23·00	Koniczyna nasienn. czer.	00·00—00·00
Jęczmień .	23·00—24·00	Mąka żytnia	40·00—40·50
Fasola biała	100·00—110·00	Mąka pszen.	72·00—73·00
Groch zwyk.	42·00—46·00	Otręby pszen.	17·50—18·00
Siano słodk.	10·00—11·00	Otręby żytnie	17·50—18·00
Łubin żółty	00·00—00·00		